№ 96. Warszawa, dnia 17 (29) Listopada 1872 roku. Tom II. — Rok I.

# WIENIEC

## PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

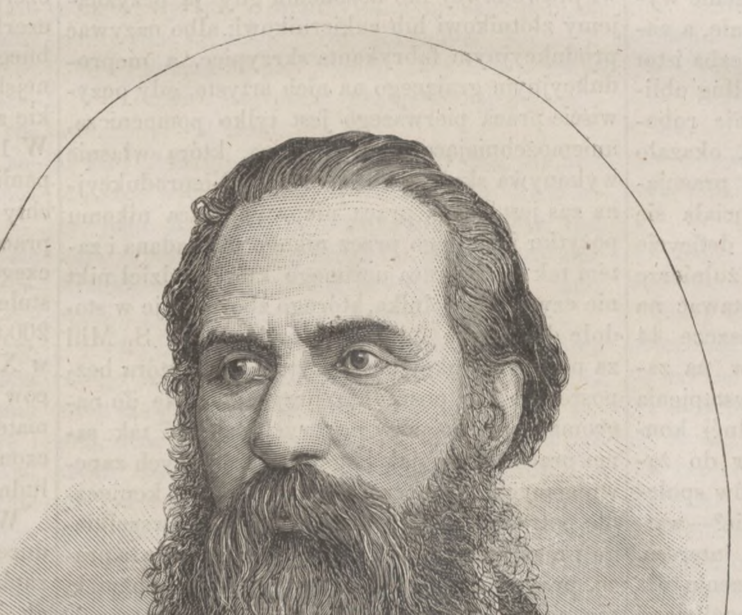
Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

## RZUT OKA NA EKONOMICZNE WARUNKI PRACY.

*Dokończenie. (Ob. Nr. 95).*

Chrześciaństwo zniosło niewolę osobistą; wyzwolenie klassy pracującéj jakkolwiek nie podniosło o wiele pracy w oczach wyższych stanów, wpłynęło jednak zbawiennie na moralną stronę robotników, pobudzając ich energię i dając nadzieję polepszenia losu. Wprawdzie położenie i rozwój umysłowy średniowiecznych rolników-poddanych (glebae adscripti) mało się różnił od niewolników, ale obok nich zjawia się już stan miejski przez który po raz pierwszy klassa pracująca podniosła się do znaczenia jednego z najważniejszych żywiołów społecznych. Nie była to jednak zupełna emancypacya; praca wyzwoliła się wprawdzie z pod władzy rycerstwa ale sama nałożyła na siebie pęta przez ustanowienie cechów. W instytucyi téj która zresztą wiele pomogła stanowi trzeciemu w zapasach z feudalizmem, ogół robotników dostał się w ręce niewielkiéj liczby majstrów, ci zaś przy pomocy sprzyjających okoliczności sami zagarnęli prawo na pracę i ciągnęli z niéj dobrowolne zyski eksploatując zarówno tych, którzy zmuszeni byli szukać u niéj zarobku jak i tych którzy potrzebowali jéj pro-



Hektor Marcucci, tłomacz Lenartowicza.

duktów. W każdym jednak razie cechy stanowią już znacznie wyższy szczebel w rozwoju pracy, gdyż uwolniły ją od obcego wpływu Taki stan ograniczenia pracy trwał do końca XVIII wieku; stosunki feodalne, prawa właścicieli ziemskich krępowały rolnictwo, cechy zaś— ujęły w swą władzę przemysł i rękodzieła. W XVIII jednak wieku kwestya pracy była żywo poruszaną szczególniéj we Francyi przez mężów stanu i uczonych. Colbert minister Ludwika XIV zwolennik i główny wyznawca systematu merkantylnego, baczną uwagę zwrócił na pracę jako źródło bogactwa krajowego i środek ściągnienia w granice państwa złota i srebra; pomimo to jednak jeszcze bardziéj ją ograniczał p o d d a w s z y ściśléj kontrolli władzy. Reakcyą przeciwko temu kierunkowi wywarła szkoła fizyokratów, któréj założycielem był Quesnay, a Turgot Minister Ludwika XVI starał się ją wprowadzić w życie. Zasadą téj szkoły była zupełna wolność pracy, obalenie cechów, oraz zniesienia opieki rządu nad przemysłem i rękodziełami p o d ł u g zasady „laissez faire, laissez passer" wyrzeczonéj przez jednego z fizyokratów Gournay'a. Fizyokraci wywarli znaczny wpływ na ekonomiczne zasady francuzkiéj rewolucyi 1789 r. Rewolucya ta dwojako przyczyniła się do emancypacyi pracy. Raz przez to, że zniosła jéj ograniczenia t. j. cechy i stosunki feodalne, a następnie przez wprowadzenie zasady równości w obliczu prawa, czém zadała wielki cios średniowiecznéj arystokracyi. Zniesienie ograni-

czeń pracy otworzyło pole osobistemu interesowi, wolnéj konkurencyi, co z kolei wpłynąć musiało na wzrost produkcyi i zjawienie się mnóztwa nowych wynalazków. W tymże czasie jak wiadomo powszechnie, w skutek równouprawnienia towarzyskiego, runęły fundamenta na których spoczywał gmach uprzywilejowanego stanu, tamującego najbardziéj swemi przesądami rozwój pracy.

Ale wyswobodzenie pracy przez francuzką rewolucyą było tylko formalne; rzeczywiste mogło nastąpić tylko ze zmianą stosunków społecznych co w każdym razie przechodzi możność prawodawcy, chociażby nim był cały naród. Społeczność nie robi skoków, ale stopniowo historycznie przechodzi różne koleje; prawodawca może przyspieszyć jego pochód usuwając mu z drogi przeszkody, ale nigdy przenieść go nie zdoła w zupełnie inną sferę. Tak się rzecz miała i z zasadami wygłoszonemi przez francuzką rewolucyą. Równość i wolność pracy wyraziła się tylko w swobodném współzawodnictwie między ofiarującemi pracę i żądającemi jéj: z jednéj strony występuje massa narodu dla któréj cały majątek stanowią dziesięć palców, a każdy dzień bez pracy jest dniem bez chleba, z drugiéj zaś niewielka liczba kapitalistów. Zbyteczném byłoby dowodzić, że od takiego położenia do równości w całém znaczeniu tego słowa przestrzeń bardzo daleka; kapitalista nie przyjmując żądań robotników i narażając tym sposobem swój kapitał na bezczynność ryzykuje tylko część swych wygód, a często nawet fantastycznych wydatków gdy przeciwnie robotnik odrzucający warunki kapitalisty, stawia na kartę życie całéj swéj rodziny. Łatwo więc odgadnąć która strona ustąpi. Robotnik z rozpaczą sprzedaje się na kilkanaście godzin dziennie za wynagrodzenie wystarczające ledwie na nędzne wyżywienie, a nawet za mniejsze, jeżeli powiększy się liczba istot skazanych na podobne położenie. Podług obliczeń zarobków w Belgii, gdzie położenie robotników nie jest bynajmniéj najgorsze, okazało się że gdyby rodzina złożona z 4 osób pracujących po całych dniach bez przerwy, chciała się utrzymywać jak marynarze byłaby w deficycie 760 franków w ciągu roku,—jeżeli jak żołnierze 405 franków, a jeżeliby chciała poprzestawać na żywności aresztantów, zabrakłoby jéj jeszcze 44 franków. Ten smutny stan robotników na zachodzie skłonił wielu filantropów do wystąpienia przeciwko osobistemu interesowi i wolnéj konkurencyi i pobudził wielu reformatorów do żądania taks i ściśléj organizacyi stosunków społecznych przez rząd; czy jednak słusznie?—wątpić należy. Co się tyczy osobistego interesu, wspomniałem już o jego ważném znaczeniu dla rozwoju ludzkości, a zarazem o niemożliwości wyrugowania go z natury ludzkiéj; jak dziś istnieje tak samo rządził stosunkami społecznemi w starożytności, lub wpływał na postępowanie majstrów w wiekach średnich; tak samo wreszcie istniałby niezawodnie w komunistycznym falansterze. Skutki zaś zatamowania swobodnéj konkurencyi przedstawia wybitnie stan przemysłu i klassy pracującéj przed rewolucyą. Położenie robotników wcale nie było lepsze, a ogólna cyfra bogactwa bez porównania mniejsza.

Z powyższego poglądu na rozwój pracy można wyciągnąć ten wniosek, że jeśli nie zdobyła ona jeszcze w praktyce należnego sobie znaczenia, to w każdym razie zbliża się ku temu celowi. Pogarda dla pracy i tryumf nad nią próżniactwa znikły, a nawet zmieniły rolę w narodach stojących na czele cywilizacyi i zaczynają zmieniać je tam nawet gdzie średniowieczne tradycye dłużéj opierały się prądowi czasu, Jakkolwiek społeczeństwo nasze posiada jeszcze indywidua, które z góry spoglądają na ludzi pracy, mało z nich jednak odważy się już teraz publicznie wyjawić swe zdanie.

Wypada tu jeszcze zastanowić się, czy każda praca jest jednakowo użyteczną i ma jednakowe znaczenie dla społeczeństwa. Kwestya ta znana pod nazwą produkcyjności pracy, była przedmiotem wielu sporów między ekonomistami, a nawet miała wpływ na ekonomiczną politykę rządów. Merkantyliści uważający za jedyne bogactwo kraju, ilość drogich kruszców znajdujących się w jego granicach, za produkcyjną uważali każdą pracę, która prowadzi do tego nabytku, a zatém cenili wysoko przemysł nadający znaczną wartość surowym materyałom i handel zagraniczny. Fizyokraci utrzymywali, że tylko zajęcia dostarczające surowego materyału powiększają mienie narodu, inne zaś zmieniają tylko formę bogactw już istniejących i dla tego tylko rolnictwu i zbliżonym do niego gałęziom przemysłu przyznawali rzeczywistą produkcyjność, tudzież prawo na opiekę rządu. Adam Smith, ojciec ekonomii politycznéj wyłączył z liczby produkcyjnych wszelkie zajęcia nie materyalne jako to: pracę urzędników, artystów, duchownych, służących i t. p. jako nie przejawiającéj się w materyalnéj formie. Przeciwko temu wystąpił I. B. Say, z trafną uwagą, że nikt pracą swą nie stwarza bogactwa, ale tylko użyteczność przedmiotów które już od wieków istniały. Użyteczność zaś zależy od żądania danéj pracy i zawierać się może w czynnościach urzędnika lub uczonego jak i w zatrudnieniu rolnika lub kupca. Byłoby nawet niesprawiedliwem odmawiać zasługi produkcyjności chirurgowi prawodawcy lub uczonemu gdy ją przyznajemy złotnikowi lub cukiernikowi; albo nazywać produkcyjnym fabrykanta skrzypiec, a nieprodukcyjnym grającego na nich artystę, gdy oczywiście praca pierwszego jest tylko pomocniczą, umożebniającą pracę główną, którą właśnie wykonywa skrzypek (Garnier). Nieprodukcyjną zaś jest każda praca nieprzynosząca nikomu pożytku i dla tego przez nikogo nie żądana i zatém tak samo praca uczonego którego dzieł nikt nie czyta, jak rolnika, którego zboże gnije w stodole dla braku odbytu (Roscher). I. S. Mill za pracę produkcyjną poczytuje taką, która bezpośrednio lub pośrednio przyczynia się do nagromadzenia bogactw materyalnych np. tak samo pracę tkacza, jak i agentów rządowych zapewniających bezpieczeństwo publiczne koniecznie potrzebne do wzrostu i kwitnięcia wszelkiego przemysłu; za nieprodukcyjną zaś uważa pracę, przynoszącą chwilowy bezpośredni pożytek, nie powiększając bynajmniéj summy materyalnych bogactw np. pracę artystów, urzędników duchownych i t. p. lecz wtedy tylko gdy będziemy zwracać uwagę na ich zwyczajne obowiązki a nie na wpływ jaki oni mogą wywrzeć na naród.

Podział jednak na pracę produkcyjną i nie produkcyjną nie ma podstawy w praktyczném życiu w którém idzie o pożytek czyli o zaspokojenie wszelkich materyalnych i niemateryalnych potrzeb człowieka. Jakkolwiek byśmy pojmowali pracę produkcyjną, bynajmniéj przez to się nie zmienia jéj pożyteczność i znaczenie dla społeczeństwa rozmaitych jéj rodzajów. Cała różnica zawierać się tylko będzie w tém, że raz produkcyjność będzie się zgadzać z pożytecznością (Say), drugi raz znów praca nieprodukcyjna będzie pożyteczną i na odwrót (Smith, Mill). Każdy jest pożytecznym ogółowi, kto zajmuje się pracą przynoszącą komukolwiek korzyść lub oszczędza mu trudów i przykrości. Co zaś przynosi korzyść w danym wypadku? — rzecz to względna i nie może być naprzód określona; praca rolnika lub fabrykanta jeżeli zawsze wydaje jednakową ilość i jakość płodów, jest zawsze jednakowo produkcyjną, gdy tymczasem pożyteczność jéj może być bardzo rozmaitą podług tego czy ogół potrzebuje wyrobionych produktów czy też nie i w jakim mianowicie stopniu; podobnież praca zecera zawsze jest w tym samym stopniu produkcyjną: bez względu na to czy przyczynia się do wydawnictwa utworu pierwszorzędnego talentu, czy też do upowszechnienia bazgraniny literackiego partacza.

Zdawałoby się iż żądanie pewnego rodzaju pracy jest najlepszą miarą jéj pożyteczności a jednak tak nie jest. Jeżeli będziemy rozważać tę kwestyę z punktu widzenia pracownika, to nieulega wątpliwości, że każda praca będzie dlań pożyteczną, jeżeli daje wynagrodzenie, nawet oszustwo i szulerstwo; lecz jeżeli zwrócimy uwagę na ogół, to tylko taki pracownik odnośnie do zbiorowych interesów jest prawdziwie użytecznym u którego w bilansie produkcyi i konsumcyi, przeważa pierwsza. Tak np. służący w zakładach publicznych przynoszą pożytek ogólny, oszczędzając osobom interesowanym czas, którego one używają na pożyteczne zajęcia; taż sama zaś ilość sług na dworze magnata, zajęta tylko zaspakajaniem pańskich fantazyi najmniejszéj nie przynosi ogółowi korzyści. Im więcéj w kraju jakim znajduje się pasożytów, tém naturalnie kraj ten jest uboższym. Śmiało można powiedzieć, że produkta spożywane przez zbyteczną ilość jednostek spełniających funkcye mało produkujące lub całkiem nieprodukcyjne wyczerpują się ze szkodą ludzi pracujących z uszczerbkiem przyszłości. Jako przykład podobnego stanu można przytoczyć półwysep Pyrenejski, który pomimo bogactwa natury tak nizkie zajmuje stanowisko w rzędzie innych krajów. W 1788 r. na 3,800,000 mężczyzn było w Hiszpanii 1,221,000 duchownych, wojskowych, szlachty uczonych i t. p. osób nie zajmujących się pracą materyalną nie licząc w to żebraków i włóczęgów. W Portugalii na początku bieżącego stulecia na 3,000,000 ludności, było przeszło 200,000 duchownych, przeciwnie w Hollandyi w XVII wieku na 2,450,000 tysięcy mieszkańców tylko 230,000 osób poświęcających się niemateryalnym zajęciom; w Stanach zaś Zjednoczonych reprezentowały one zaledwie 1,3% całéj ludności.

Wychodząc z praktycznego stanowiska producentów, ocenienie użyteczności dla ogółu, a co zatém idzie i popłacalności danego rodzaju pracy, jest nieraz bardzo trudném, i to témbardziéj im więcéj rozszerzają się stosunki społeczne a z niemi podział pracy. Jeżeli kto sam zaspakaja wszystkie swoje potrzeby, lub też jeżeli czynność tę odbywa wspólnie w małém kółku zna wtedy naprzód swoje potrzeby i z łatwością może zastosować do nich produkcyą. Skoro jednak z postępem czasu ludzie wstępują w coraz obszerniejsze sfery towarzyskie, dogodniéj jest dla każdego zajmowanie się przeważnie jedną pracą, wyroby któréj może zamienić na inne produkta. Ciągły przyrost ludności, powstawanie coraz nowszych potrzeb których nietylko pojedynczy człowiek ale nieraz cała okolica sama zaspokoić nie może, stosunki z odległemi stronami, ulepszenie środków komunikacyi i wymiany produktów wszystko to wpłynęło na nadzwyczajny postęp podziału pracy, a zarazem i na połączenie całéj ludzkości w jedną wielką ekono-

miczną rodzinę, w której każdy pracuje dla wszystkich, a wszyscy dla każdego. W ostatnich czasach podział pracy doszedł niemal do ostateczności; nietylko wyrób każdego przedmiotu stanowi osobną gałęź przemysłu, ale nadto każdy jeszcze gatunek dzieli się na mnóztwo odziomków mających właściwe fabryki i specyalnie ukształconych robotników. Tak wyrób szpilek dzieli się na 18 oddzielnych zajęć, wyrób kart na 70, zegarków na 102, a tylko składający zegarek zna się na nich wszystkich; w Anglii są gwoździarze którzy nic innego prócz gwoździ robić nie umieją.

Podział pracy w obecnym czasie jest nieodłącznym warunkiem produkcyi przyczyniającym się znacznie do powiększenia wprawy i zręczności robotnika zajętego jedną wyłącznie specyalnością, co przyczynia się do zaoszczędzenia sił któreby inaczej zużywały się niepotrzebnie na przechodzenie od jednego zajęcia do drugiego, lub na pracę dającą przy jednakowém wysileniu wcale różny pożytek np. przewóz mniejszej i większej liczby listów pocztą. Wprawa robotników otrzymywana przez podział pracy dochodzi do zadziwiających rezultatów; zręczny pilnikarz robi 200 uderzeń na minutę, gwoździarz może wyrobić dziennie 2,300—3,000 gwoździ, gdy tymczasem kowal, czasem tylko robiący gwoździe wyprodukuje ich najwyżej 800—1,000, a nigdy ich nie robiący zaledwie 200—300. Ogólny zaś wpływ podziału pracy na produkcyą jest tak znaczny, że fabryka szpilek złożona z 10 robotników wyrabia ich 48,000 dziennie, jeden zaś nie zrobiłby i 20. Zbyteczny jednak podział pracy ma także i ciemne strony, wpływając niekorzystnie na umysłowy stan robotnika przytępiając go ciągłą jednostajnością zajęcia, tak, że według wyrażenia się Blanqui, człowiek skazany na robienie gwoździ przez całe swoje życie, sam wreszcie staje się gwoździem. Nadto podział pracy utrudnia jak już wspomniałem zastosowanie produkcyi do konsumcyi i nieraz bywa przyczyną przesileń przemysłowych, pozbawiających zarobku robotników i skazujących kapitał na bezczynność.

Wszystkie w ogóle czynniki przyczyniające się do rozwoju i postępu cywilizacyi, nie są wolne od pewnych ujemności, nie jest od nich wolnym i osobisty interes, nie jest wolną i konkurencya i podział pracy i maszyny, a nawet nauka i wynalazki. Czyż to jednak może nam dawać prawo potępiać dzisiejszą cywilizacyę i wstrzymywać postęp który ją dalej prowadzi? Chyba wtedy moglibyśmy to słusznie uczynić gdybyśmy chcieli jednocześnie wyrzec się wszystkich dobrodziejstw oświaty i zgodzić się na pozostawanie całe życie w barbarzyństwie, co zresztą nie jest w naszej mocy.

W rzeczach ludzkich złe łączy się z dobrém pierwsze w skutek pracy usuwa się, drugie zaś, zwiększa—lecz zazwyczaj nie tak prędko jakbyśmy sobie życzyli. Braki mające zasadę w przyrodzonej ułomności człowieka, przy każdem usiłowaniu naprawy towarzyskiego ustroju występują w dawnej lub zmienionej formie, wciskają się do każdej ludzkiej roboty—nie należy więc pomijać ich w żadnym planie, lecz rachować się z niemi uważnie a ciągle, jak one same trwają w naturze naszej ustawicznie. Spodziewać się doskonałości i na niej budować przyszłość—cudny to sen, ale dla tej zwłaszcza przyczyny nigdy nie urzeczywistniający się na jawie. Nie bądźmy dumni z tego czego nie posiadamy, nie bądźmy też lekkomyślni gdy spełniać trzeba poważne obowiązki życia. Szukajmy sposobów ulepszenia się, co jest możebném zamiast marzyć o bezwzględnym ideale, którego ściągnąć z nieba na ziemię nie potrafimy.

Praca nas uszlachetnia pracujmy zatém energicznie i wytrwale. Podstawą jej musi być zadowolenie potrzeb jednostki—nie gardźmy więc dźwignią *osobistego interesu*. W nagrodę będziemy mieć więcej zamożnych spółek przemysłowych, rzemieślniczych i gospodarskich, a mniej upadających „Towarzystw dobroczynności” zawieszonych na cieniutkim włosku publicznej filantropii; więcej chleba w domu, mniej żebraków na ulicy; więcej sprawiedliwości mniej jałmużny; więcej chwil na wypoczynek po trudach, mniej gnuśnego próżniactwa; więcej rozwagi i wiadomości, mniej poetycznego złudzenia.—Czy ludzkość na tém straci?... Godzi się wątpić i co do nas stanowczo jesteśmy innego przekonania.

---

# RAMULTOWIE.

## POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

*Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 95).*

### X.

Lelia spojrzała mu w oczy bystro.

— Panie Aleksandrze—rzekła—nie czyń mi tej krzywdy byś sądził że ja czułości jego przyjmować mogę nie przekonawszy się że są czemś więcej nad komplementem...

— Jakto? komplementem? podchwycił Oleś rozgorzały już i nieprzytomny... czyż pani nie domyśliłaś się uczuć mych dla siebie.

— Tłómacz się pan jaśniej? jakie to są uczucia?

— Uczucia szacunku... przyjaźni najczulszej—admiracyi—a! pani!

Pan Aleksander w chwili gdy już, już miał straszne wyrzec słowo—przeląkł się mierząc całą jego doniosłość... zatrzymał. Wdowa opuściła zupełnie tą rękę którą był ujął, jakby bezwładną, sparła się na łokciu i osmutniała, zadumana i głosem melancholii pełnym poczęła.

— Czyż pan, pan... nie widziałeś wzajemnie całego mojego współczucia dla siebie? Czyś pan mnie kiedy widział płochą? Byłam i jestem wesołą, lecz byłamże zalotną? Jam od lat najmłodszych całem sercem była jego przyjaciółką, a od śmierci mojego męża, nawykłam go uważać za opiekuna, za jedynego któremu ufam... a pan.

— Pani! zawołał Oleś przyklękając na jedno kolano—niech się pani ulituje nademną—ja głowę tracę... ja niewiem jak wyrazić co czuję—ja jestem jej wielbicielem do zgonu...

— A! panie Aleksandrze—jest to wyraz chwilowego tylko uniesienia jego dobrego serca.

— Jest to wyraz uczucia które ja miałem i mam dla pani... i chcę je zachować na zawsze...

Wiesz pani—począł nagle jakby wielkiej nabierając odwagi—gdybym nie był w tym wieku...

— Ale waćpan jesteś młodym? z uśmiechem odezwała się Lelia...

— Gdybym miał odwagę wynurzyć całe me serce przed nią...

— Proszę pana... bez żadnej obawy...

— Pani nie widzisz że ja się w pani szalenie kocham!!

— Nie, tego nie widzę, zimno rzekła Lelia, bo gdyby tak było, będąc wdowcem, widząc mnie wdową, dawnobyś pan mógł mi powiedzieć,—oto ręka moja...

— A cóż pani byś na to odpowiedziała! krzyknął Oleś padając już na oba kolana...

Lelia nagle zamilkła... chwila niepewności trwała tak długo, że pan Aleksander pobladł—wreszcie podała mu obie ręce...

— Panie Aleksandrze! to uroczyste oświadczenie... mam dla pana współczucie i szacunek... masz rękę moją... będę twoją.

Usłyszawszy te słowa, Oleś schwycił ręce Lelii niosąc do ust i jak szalony całować ją począł... zerwał się ukląkł raz jeszcze, zdjął pierścień z palca i jakby się sam lękał cofnąć, zamienił go w milczeniu z wdową... Wszystko to odbyło się tak szybko, tak piorunowo, iż pan Aleksander usiadłszy uspokojony w fotelu przy Lelii, trzymając jej rękę, patrząc w jej oczy... tarł czoło aby siebie samego przekonać że to snem nie było...

— Teraz, odezwała się cichym głosem Lelia—gdyśmy już przed Bogiem poślubieni—mówmy spokojnie o przyszłości...

— Mówmy! mówmy o tej szczęśliwej przyszłości—rzekł Oleś... lecz droga Lelio... o jak mi słodko wymówić teraz to imie! — musiemy czas jakiś zachować w tajemnicy zaręczyny... babcię i Hannę muszę przygotować.

— Tak, lecz zbyt długo ani pan nie potrafisz ukrywać, ani ja mogę cierpieć tajemnicy któraby znowu potwarz jaką zrodzić mogła...

— Ja! ja na wszystkom gotów co każesz... radbym szczęście moje przyśpieszyć... lecz starościna...

— Wierz mi pan—że starościna mniej będzie zdziwioną i nie tak przeciwną jak ci się zdawać może... Hanna jest moją przyjaciółką...

Imię Hanny przywiodło znać nagle na pamięć Olesiowi Sylwana, chmurą oblokła mu się twarz lecz Lelia ścisnęła jego rękę i pan Aleksander znowu o wszystkiem co nią nie było zapomniał.

— Teraz—idź pan—odezwała się—potrzebuję zebrać myśli—ochłonąć, opamiętać się... wnijść w siebie; mogłażem się spodziewać że ta rozmowa poczęta wymówkami skończy się takiem wyznaniem...

— A jaż! a ja! rzekł ręce składając Oleś—mógłżem wchodząc na ten próg przypuścić nawet bym tak szczęśliwy powracał! A .. pani...

Stary Oleś tak się zbliżał natarczywie do narzeczonej, chwytając białe jej rączki... a zdając się szukać ust różowych... tak był pokorny i czuły, iż Lelia nie opatrzyła się jak dotknął ustami jej czoła... Z lekka odepchnięty... pan Aleksander znowu pochwycił ręce i jak szalony z domu wyleciał.

Wielkiem to było szczęściem dla niego iż nikt go nie zobaczył wybiegającego i kłusującego potém trotuarem czas jakiś, dopóki chłopiec od szewca który go mijając śmiać się począł, nie przyprowadził do opamiętania...

Śmiech ten dopiero go wytrzeźwił. Cała scena owa przyszła mu na pamięć, spojrzał na pierścionek... począł się i cieszyć i trwożyć. Co powie starościna gdy się dowie? jak jej to powiedzieć? Co pomyśli Hanna? Jak to przyjmie świat? Całe brzemię najrozmaitszych trudności i zawikłań, które sobie swą popędliwą miłością zgotował, stanął teraz przed nim z groźbami i strasznemi widziadły.

Pan Aleksander sam niewiedział jak do tego przyjść mogło, co zaszło, jak się ośmielił oświadczyć?...

— No — prawdę rzekłszy—powiedział sobie w duchu powoli już wracając do domu—dawno bo się to przygotowywało. Musiał wulkan zebrany w mych piersiach wybuchnąć? Co to ludzie powiedzą! co ludzie powiedzą! Niech sobie

mówią co chcą... Wszystko mi jedno... trochę szczęścia jeszcze mi się należało. A ona! ona tak piękna! tak urocza...

Znalazł się w progu domu i marzenie zostało przerwane.

XI.

Tego wieczora gdy Szerszeń chodził nadaremnie po pana Sylwana, późno już dosyć wrócił do domu. Chłopiec oznajmił mu że go panna Viola do siebie na chwilę prosiła—godzina jednak była już gdy artystka musiała być w teatrze, a po jéj powrocie do domu odwiedziny zbyt by się spóźniły. Nie poszedł tego dnia Sylwan, aż dopiero nazajutrz rano...

Viola kaszlała tego dnia więcéj niż kiedy, wczorajsza rola długa, wymagająca wiele uczucia zużyła ją mocno. W nocy miała trochę gorączki, wstała blada, osłabiona, czując się źle i wody pić nie mogła. Spocząć trudno było, bo też nadchodził benefis dyrektora i owa rola Julii, do któréj tyle potrzebowała nauki i przyborów... Oboje Pawłowie widząc ją tak słabą dobierali środków by orzeźwić biedną i ulżyć jéj w czemkolwiek... Nic to jednak nie pomagało, Viola siedziała odrętwiona a może oczekiwanie próżne na Sylwana, którego się spodziewała wieczorem, nie widziała w teatrze—przyczyniło się do tego smutku i osłabienia.

Gdy po chodzie w pierwszym pokoju i po głosie poznała go zrana, rumieniec jéj wystąpił na twarz, porwała się z kanapki i wybiegła naprzeciw tak nagle orzeźwiona jakby w nią nowe życie wstąpiło.

Sylwan w jéj twarzy spostrzegł jednak ślady niezdrowia i zmęczenia.

— Co to pani jest? spytał troskliwie.

— Tak, było mi niedobrze—odparła uśmiechając się—ale gdym pana posłyszała wszystko mi odeszło... Tak rada jestem że go widzę...

— A ja wczoraj przyjść nie mogłem—odezwał się Sylwan, którego ten pełen rzewności głos przerwany kaszlem poruszył—dano mi znać późno; a potém chybabym po teatrze mógł służyć... godzina była niewłaściwa.

— A! dla czegóż? cicho szepnęła rumieniąc się Viola—pana bym była przyjęła o każdéj godzinie...

Naiwne te wyrazy, wzrok i pomięszanie Violi aż nadto mówiły. Sylwan widząc to przywiązanie do siebie które przyjaźnią tylko braterską mógł odpłacić, czuł się jakby winnym iż wzrość uczuciu dozwolił, choć go niczem nie podbudzał. Przed oczyma teraz miał obowiązek odjąć jéj wszelką nadzieję, niedopuścić aby się łudziła... Lecz jakto było dokonać?

Z bólem w sercu siadł przy niéj na kanapie rozpytując o zdrowie.

— Już mi teraz nic nie jest, rzekła—wczoraj było niezmiernie wiele do roboty... a rola którą grałam tak cieżka, tak bolesna... a ja się wcielam w każdą, że z nią odcierpieć muszę wszystek ból jaki w nią wlał poeta... Wróciwszy do domu musiałyśmy do pierwszéj w nocy szyć z Pawłową... Powinnam była do tego przywyknąć—bom od dzieciństwa ledwie igłę mogąc utrzymać w ręku, po całych nocach ślipiała a ileż się ich nie spało płacząc i głodno...

Zamilkła... Sylwan zwrócił rozmowę... Opowiedziała mu przygody swojego życia, począł on ze swoich się spowiadać. Viola słuchała go z zajęciem gorączkowém...



Dagoba.

— Przed wami, droga pani, nie będę nic taił mówił Sylwan spokojnie... nawet tego co się na dnie serca trzyma zakryte od ludzkich oczów...

I począł jéj opisywać młodość spędzoną na wsi, dziecinne z Hanną zabawę dziecięcą, potém młodzieńczą dla Hanny miłość...

Twarz biednéj dziewczyny zwolna zaczęła się marmurową oblewać bladością... usta drżeć i sinieć... oczy łzami zachodzić poczęły, wstrzymała oddech zasłuchana, przelękła...

Sylwan widział wrażenie, a jednak musiał wyznania swego dokończyć, aby się z niego mogła dowiedzieć, że téj miłości dochował do dziś dnia i że w tém sercu nią zajętym, na nową miejsca nie było.

— Obok téj Hanny, rzekł w końcu—braterską miłość dla was, umieszczę. Wierz mi droga pani, jest ona inną, ale nie jest od tamtéj słabszą ani mniéj trwałą, ani mniéj do poświęceń zdolną.

Viola nic nie mówiąc, schyliła się do jego ręki i nim Sylwan mógł ją cofnąć, gorąca do niéj przyłożyła usta...

— A! nie wyrzekaj się mnie pan, dla tego że kochasz inną, piękniejszą, idealniejszą, godniejszą ciebie nademnie—ty mnie niepotrzebujesz—ale ja w tobie znalazłam podporę, radę... ojcowską.

Gdyś mówił, dodała—było mi gorzko aż do łez—a teraz jest mi błogo nad wyraz... bo twoja dla mnie miłość braterska jest prawdziwą... bezinteressowną... taką w którą ja wierzyć muszę. Niema w niéj namiętności... więc ona trwać będzie...

Tak... tak—mówiła żywo—trzeba było żebyś mi to powiedział—to mnie uspokoi—uleczy... A! ja co się przyznać muszę... nie patrz na mnie i nie śmiej się z biednéj—jam się innego spodziewała wyznania, bo moje przywiązanie dla ciebie jest więcéj niż siostrzaną miłością...

Słowa jéj w cichem łkaniu ginęły, trzymała rękę Sylwana i milczała długo. Potém spokojnie otarła łzy i uśmiechnęła się.

— Tak mi dobrze teraz! zawołała — czuję się swobodniejszą.... Pan mnie nie porzucisz,... nie pogardzisz mną... będziesz mi zawsze bratem...

Sylwanowi także ciężar wielki spadł z serca, czuł i on się swobodniejszym jak po spełnieniu obowiązku... Znowu po chwili usiłował zagadać o czem inném, gdy Viola... zobaczywszy na stoliku rzucony list Hermana, podała mu go z uśmiechem.

— Winien to szczęście żem go rozpieczętowała, temu iż ręka wasza, panie Sylwanie... całkiem do jego pisma podobną... Przeczytaj go.... ciekawy bardzo... śmiałam się nad nim i płakałam...

Sylwan w istocie począł list Hermana czytać i zadumał się nad nim: w sarkazmach i ironii jego było wiele smutku... Przypomniał sobie że dosyć go dawno nie widział, i nie wiedział co się z nim dzieje...

— Ze wszystkich listów których mogłabym stworzyć zbiór dosyć ciekawy—rzekła—jest to może najdziwniejszy. Gdyby on nie był takim wielkim panem, a ja tak biedną dziewczyną, powiedziałabym że jak ja jest nieszczęśliwy... lub... lub—dodała, lepszy aktor odemnie...

Ze smutkiem pożegnali się z sobą, ale Viola poufalszą, śmielszą się czuła teraz, jakby z tego stosunku spadły ciążące na nim kajdany...

— Więc rzekła rozstając się—ona tu jest, pokażcie mi tę Hannę! niech ja jéj twarz zobaczę!.. ja ją kocham... choć ona nigdy mi nie odda mojéj miłości dla siebie...

Wyszedłszy od Violi, Sylwan prosto udał się do brata, którego spodziewał się zastać o téj godzinie. Znalazł go w istocie, ale w łóżku, Herman był chory a bardziéj roznerwowany i kapryśny.

Mieszkanie Hermana doskonałym było jego charakteru komentarzem. Z wielkim przepychem urządzony pokój sypialny, dywanami wysłana podłoga, łóżko z kotarą jedwabną, portiery z gobelinów, meble naśladowane ze starych, tysiące fraszek błyszczących, a przytem największy nieład jaki sobie wystawić można.

Troskliwość matki zawiesiła nad łożem obrazek pobożny, palmę i gromnicę, ale niedaleko od niego na ścianach poprzybijane były fotograficzne reminiscencye teatrów i znajomości żeńskich, które przed hrabiną tłómaczyły się swoją artystyczną pięknością. Na stoliku proszki burzące niedopite, butelka czerwonego wina rozpoczęta, połamane biszkopty, pomięte dzienniki, porozsypywane cygara, pieniądze, listy, książki... Filozoficzne rozprawy razem z romansami i historyą Rigolboche... poważne dzieła i Kladderadatsch, kawałki wstążki... Herman w pięknym tureckim szlafroku, pantoflach, w batystowéj koszuli, leżał na pół, na pół siedział z rękami zagrzebanymi we włosach rozrzuconych, blady i zamyślony.

Wchodzącego Sylwana powitał zrazu sądząc że jakiś natręt go napada, chmurną twarzą i jakby porywem do gniewu, ale na widok jego rozchmurzył się i podał mu białą, chłodną dłoń po przyjacielsku.

— Co tobie jest, siadając przy nim rzekł brat, nigdzie cię nie widać? wszyscy o ciebie pytają a ja się niepokoję — przyszedłem nareszcie sam zobaczyć.

— Choruję, bo nie mam co robić—westchnął Herman... towarzystwo nieznośne, świat głupi, ludzie obrzydliwi!

— No— ale i my nie lepsi, mój Hermanie... rozśmiał się Sylwan, świata nie zmienim, a żyć w nim trzeba.

— Chciałem wypocząć chorując—odezwał się Herman, ale nudzę się gorzéj jeszcze. W towarzystwach wiekuiście ta sama rozmowa, klerykały krzyczą na czerwonych, demokraci wrzeszczą na ultramontanów, plotki, sarkazmy, intrygi głupota...

— Pytam się ciebie jeszcze raz, cóż my lepszego? odrzekł Sylwan.

— Ty jesteś lepszy bo pracujesz i nie piszczysz a nie gadasz... ja jestem jeszcze gorszy niż wszyscy... a mimo to splen napada że w łeb sobie strzelić by można!... Myślałem że pojąc, dobyć potrafię z nich czy dowcip czy serce.,. gdzie tam? gdy się popiją—czyste bydło!

Sylwan się śmiał.

— Nic gorszego nad takie nudy w samotności, idź wstań, rozruszaj się, nadewszystko rób cokolwiek...

— Mądry jesteś! cóż będę robił? Mało co umiem i licho... Każdą z tych rzeczy które jabym mógł robić, ktoś inny potrafi lepiéj nademnie — nawet kochać się szczęśliwiéj umieją niż ja...

Sylwan przypomniał sobie list jego do Violi.

— No! zawołał — cóżeś to za epistołę wystylizował do téj biednéj suchotnicy...

Herman się zaczerwienił.

— Czy ci ją pokazywała?

— Samem ją zobaczył na stoliku u niéj. Otworzyła ją sądząc że list odemnie, pokazuje się bowiem że mamy pisma zupełnie podobne...

— A twoje pismo zna, rzekł szydersko Herman.

— Doskonale, bom jéj przepisywał role.

— A! dobry wykręt? Jakże znalazła moją kompozycyę...

— Wiesz co powiedziała o niéj, że jéj się zdajesz tak nieszczęśliwym jak ona, lub lepszym od niéj komedyantem!..

Pokiwał głową Herman.

— Ty się w niéj kochasz i ona cię kocha?! przyznaj się.



Świątynia w Mengon.

— Wierzysz słowu mojemu?

— Wierzę.

— Daje ci słowo że się w niéj nie kocham.

— Cóż cię do niéj wiąże?

— Jéj nędza, choroba i nieszczęście.

— Dla czegoż niechcesz dopuścić aby ją kto innny ratował?

— Ja? niechcę dopuścić! zawołał Sylwan, ja się do niczego nie mięszam; lecz gdzie idzie o ciebie będę na przeszkodzie bałamuctwu, którego sam byś potém żałował. Mężczyźni zwykle umizgi do kobiet, zwłaszcza z innéj sfery towarzyskiéj, posunięte aż do ostatniego kresu, nieuważają za nic zdrożnego, jest to przecież nikczemném dla zabawy poświęcać cześć, spokój, sławę biednéj dziewczyny.

— A któż ci powiedział przerwał Herman że jabym to chciał poświęcać dla rozrywki? Ja jestem aż nadto seryo w rzeczach które inni za mało znaczące uważają, a mało przywiązują wagi do tych które świat ma za bardzo ważne. Ja się szalenie kocham w tym dyable Violi... i kto wie, jakby daleko miłość pójść mogła...

— Mój Hermanie! przecież byś się nie ożenił? rzekł Sylwan.

— Jakto? dla czego? gdybym ją kochał a był kochany? a myślisz żeby mnie co wstrzymać mogło.

Sylwan spojrzał nań trochę zdziwiony.

— I wprowadziłbyś do rodziny ten żywioł który by w niéj usychał... odpychany, zaparty... nieszczęśliwy?..

— Rodzina musiałaby mnie przyjąć z nią albo bym ja zaparł się nawet familii przerwał Herman...

— Kochany bracie, tak się mówi tak się nawet czyni, i po tém całe życie żałuje.

Tę nieszczęśliwą pasyę do Violi, powinieneś sobie wybić z głowy i serca... Im biedniejsza ona, tém na większy zasługuje szacunek, bo z nędzą walcząc uczciwą jest i może światu całemu patrzeć w oczy śmiało... nie wstydząc się w życiu żadnego kroku, nie mając do wyrzucenia sobie żadnego błędu..,

— Gdybym konał z pragnienia a ty byś przyszedł mi powiedzieć z krwią chłodną—mój kochany, niech ci się pić nie chce... byłoby to właśnie tém co mi teraz mówisz. Rada wyborna... rozśmiał się Herman—ale ten szatan swym wzrokiem mnie prześladuje...

— Zapomnisz!!

Herman począł coś nucić.

— Słuchajno, dodał zaraz, wyparłeś mi się że się nie kochasz we Violi, wierzę, choć jestem pewny że jeśli nie ty w niéj, ona się w tobie kochała... a teraz powiedz prawdę—nie kochałeś się w pannie Hannie?

Sylwan zaczerwienił się i zamilkł.

— Nie miałbym się czego wstydzić rzekł po chwili—ale wyznań takich nie wymaga się nigdy.

— Nie nalegam, rzekł Herman, muszę cię jednak posądzać o to... Kocham cię doprawdy, mój Sylwanie, bo w tobie widzę człowieka, muszę ci więc powiedzieć na wzajem że tobie starają się kochane świętoszki uszyć buty, posądzając o miłość dla panny Hanny. Tak bogata partya nie może być dla nich obojętną—chcieliby ją wydać za kogo ze swoich—podejrzewają cóś że musisz im być przeszkodą—strzeż się.

— Cóż oni mi zrobić mogą?

— Oszkalują naprzód.

— Zdaje mi się *que c'est chose faite*—a potem?

Herman zdawał się niechcieć powiedzieć wszystkiego czego się domyślał i o czem wiedział.

— Potém—przebąknął—mogą się ztąd starać ciebie pozbyć.

— To by im przyszło łatwo odezwał się obojętnie Sylwan. Ale, niewieszże kogo pannie Hannie przeznaczają.

— Między innemi, mnie! rzekł śmiejąc się Herman, ale ja nie będę dla ciebie niebezpiecznym rywalem. Panna Hanna jest dla mnie za poważna. Po za mną stoją szeregiem wszyscy pobożni a goli kawalerowie należący do bractwa.

— Ja ci to tylko powiem—odezwał się Sylwan, że panna Hanna mimo poszanowania dla babki i ojca wydać się nieda, przeciwko woli.

— A nie obawiasz się ich wpływu na nią? zapytał Herman...

— Ja się w ogóle mało czego na świecie obawiam bo na wszystko jestem przygotowany— odezwał się Sylwan.

— W obozie poruszenie wielkie, mówił Herman śmiejąc się—*l'arrière ban*, nieruchome matedory, rezerwy zreumatyzmowane, dostojników którzy się nigdy nie ruszają, powołano dla zawojowania staroscinéj. Zdaje mi się że i na pana Aleksandra... przygotowano trufle i bażanty, by przez żołądek wkraść się do jego serca...

Sylwan ruszył ramionami i przeszedł się po pokoju... *(d. c. n.)*

## KORESPONDENCYA.

*Dokończenie. (Ob. Nr. 95.)*

*Florencya.*

Ponieważ Wiktor Emanuel bawiąc podówczas w Turynie, nie wziął udziału w uroczystości tak blizko go obchodzącéj, przeto po ułatwieniu się z wystawą w Medyolanie i z rewiami wojska stojącego obozem w Somma—przybył do Florencyi i w willi królewskiéj *della Petraia* o nie całą milę odległéj od miasta, wydał obiad i świetny wieczór dla narzeczonych i całéj rodziny Mirafiorów i Larderelów. Po obiedzie do którego zasiadło 40 osób nastąpiła przechadzka po willi, podczas któréj przy dźwiękach orkiestry maestra Eneasza Brizzi (ozdobionego za to orderem Ś. Maurycego i Łazarza), goście przypatrywali się fajerwerkom i ogniom bengalskim,— wreszcie miał miejsce bal, który trwał do samego rana. Król tego dnia był bardzo wesoły, wielomówny i żartujący ze wszystkiemi, a szczególniéj pani Larderel i panna Bianka Larderel jego syna narzeczona, z którą dość długo pod rękę się przechadzał i bawił dowcipną jéj rozmową, doznawały jego względów. Dopiero o godzinie 2 po północy powrócił król do swego pałacu Pitti we Florencyi, zkąd wyjeżdżając dnia poprzedniego zabrał z sobą misternéj roboty garnitur biżuteryi za 60,000 fr. kupiony u tutejszego jubilera Marchesiniego i takowy w prezencie ofiarował swéj przyszłéj synowéj.

Do niedawnego jeszcze czasu państwo włoskie miało nieszczególną opinię w świecie finansowym, a w przekonaniu prostaczków uważane było za bankruta, bo mówiono sobie: dochody tego państwa nie wystarczają nigdy na bieżące wydatki i na opłatę procentów od półtrzecia miliardowego długu; całkiem nie ma brzęczącéj monety w kraju, a papiery mają kurs przymusowy,—wreszcie za 100 franków renty dają tylko 44 etc. Byli nawet tak złośliwi statystycy, którzy liczebnie wykazywali, iżby trzy razy można było pokryć cały półwysep apeniński papierami kurs w kraju mającemi. A jednakże mimo ego wszystkiego różnica między złotem a papierem nigdy nie dochodziła 10%, a nawet był czas długi gdzie ażio od złota wynosiło tylko $2\frac{1}{2}$%. Obecnie gdy sąsiadka tak skwapliwie do swéj kassy ściąga złoto, azio wynosi $8\frac{1}{2}$%. Zatém dalecy jesteśmy od bankructwa i nie tak źle stoją nasze papiery jakby mógł kto mniemać i mamy nadzieję, że niezadługo cały świat się o tem przekona. Przyczyna tego położenia a zarazem zadatek lepszéj przyszłości leży w równoważeniu się zagranicznego przywozu z krajowym wywozem. Im drugi coraz bardziéj nad pierwszym będzie brać górę—do czego już położone są dobre podstawy—tém położenie tutejszego kraju ciągle się będzie polepszać. Nie myślę moich czytelników nudzić długiemi wywody, ale dla rozrywki ich tylko wtrącę tutaj kilka cyfr wziętych ze statystycznych sprawozdań z ruchu marynarki handlowéj, jakie w tym miesiącu różnych portów zarządy zwane tu *kapitaństwami*, (capitanerie), ogłosiły za miesiąc Lipiec,—a jestem pewny, iż takowe przekonają ich o prawdziwości mych twierdzeń.

W ciągu Lipca do portu genueńskiego przybyło okrętów 803 z ładunkiem 124,140 ton: i z załogą 8300 ludzi—wyszło zaś 766 z ładunkiem 128,514 ton: i z załogą 8,355 ludzi.

W tymże samym czasie do Neapolu wpłynęło różnych okrętów o masztach i parowych 281 z ładunkiem 64828 ton:, wypłynęło 403 okrętów z ładunkiem 68,972 ton. Do Katangi przypłynęło 349 okrętów z ładunkiem 12,534 ton:, odpłynęło 947 okrętów z ładunkiem 86219. W ruchu tym stosunek okrętów cudzoziemskich do krajowych jest jak 1 do 5, które to ostatnie za objektywę swych operacyi i podróży mają handel na wschodzie.

Obecnie wiele liczą Włochy na wystawę powszechną w Wiedniu, gdzie mają nadzieję nietylko w dziale sztuk pięknych, ale także w przemyśle i rolnictwie zająć wybitne stanowisko. Wszystkie niemal prowincye, a nawet większe miasta wyznaczają oddzielny fundusz już to na ułatwienie przesyłki już to na nanagrody dla premiowanych na wystawie, aby swych współobywateli zachęcić do tém liczniejszego i czynniejszego udziału w tym wielkim Europy popisie. Samo z siebie wypływa, że rząd także wielką sumę przeznaczył na ten cel i że zatém wszystko co robią miasta i prowincye pochodzi z inicyatwy prywatnéj i tylko ma na celu ożywienie emulacyi pojedynczych miejscowości. Jak dalece opinia publiczna zajęta jest wystawą dość będzie powiedzieć, że już teraz większe dzienniki wysłały lub też zamówiły sobie w Wiedniu korespondentów, którzy im regularnie sprawozdania o niéj przesyłają.

Towarzystwo uprawiaczy win (t. j. winiarzy, *vignaiciolí*), które roku zeszłego urządziło tutaj krajową wystawę win, ma zamiar w Wiedniu urządzić wielki skład win, czyli jak tu mówią Emporio, w celu zapoznania cudzoziemców z bogactwem win tutejszych, tak co do ilości gatunków jak i ich jakości, a także faktycznego wykazania fałszu, powszechnie zakorzenionego w Europie przesądu, iż tutejsze wina nie dają się ani przewozić, ani konserwować. Przedsiębierstwo to robi sobie i krajowi wielkie nadzieje rozgałęzienia po Europie handlu winami włoskiemi, a tym sposobem odkrycia nowego źródła bogactwa krajowego.

Bawiący tu p. Teodor Gundelach wykończył niedawno bardzo piękną i ze wszech miar gustowną wypukłorzeźbę przedstawiającą żniwiarza. Pomysł pracy jest czysto realny, ale forma i wykończenie rzeźby jest klassyczne wzo-

rowe. Niezadługo sami się o tém przekonacie naocznie, bo p. Gundelach pracę swą wysyła na wystawę do Warszawy. Inny znowu rzeźbiarz p. Baracz zrobił według fotografii Montabonego popiersie Lenartowicza, które poprawił i wykończył z natury, O ile wiemy jestto pierwszy biust naszego lirnika, przedstawionego w szubie futrzanéj i w batorówce na głowie.

Zapewne dla czcicieli talentu i pióra Lenartowicza przyjemna będzie wiadomość, iż obecnie pracuje nad wielkich rozmiarów poematem dramatycznym, który nam pokazuje autora w całkiem inném świetle od tego, w jakiém dotąd byliśmy przyzwyczajeni go widzieć. Słyszałem wiele ustępów tego poematu i nie mogłem wyjść z podziwienia, zkąd się znalazło tyle siły, życia i ognia w téj piersi zawsze mile i słodko kwilącéj, zawsze tylko z wiosennych kwiatów czerpiącéj soki pożywcze i ich wonią oddychającéj.

Już dawniéj doniosłem wam o tłómaczeniu professora *Marcuccego* niektórych poezyj Lenartowicza, nie będę się więc zastanawiał nad takowém—lecz uważam za stosowne poznajomić bliżéj moich czytelników z osobistością tego włoskiego poety.

Hektor Marcucci dziś około 50 lat liczący, urodził się w 1821 r. w San Severino (miasto Marchii Ankointańskiéj), ojczyznie Pucitellego słynnego sekretarza Władysława IV, pobierał nauki gimnazyalne w Maceracie, wreszcie na kursa prawne uczęszczał do Uniwersytetu rzymskiego, zwanego dawniéj *Sapiencyą*. Będąc już na trzecim kursie, złudzony swym muzykalnym talentem, a nadewszystko dźwięcznością i delikatną modulacyą głosu, oddał się zawodowi dramatycznemu jako artysta-śpiewak; przez lat kilka zbierał wawrzyny po najpierwszych teatrach w Sycylii, Neapolu, Rzymie, Bolonii i innych miejscowościach. Sława jego tak była już głośna i ustalona iż otrzymał zamówienie do jednéj z zagranicznych oper. Nieszczęście chciało, że gdy miał opuszczać ziemię ojczystą, cierpienia nerwowe w krótkim czasie tak silnie się rozwinęły, iż zmusiły go do porzucenia obranéj karyery i oddania się nauczycielstwu, które przy znajomości kilku języków, a zwłaszcza literatury rodzinnéj, mogło mu i jego rodzinie zapewnić utrzymanie. Wtedy to jako nauczyciel pracując na chleb powszedni, z całém zamiłowaniem oddał się pracy literackiéj, która stała się jedyną jego rozrywką, pociechą i najwłaściwszém polem do zbierania nowych wawrzynów. Oprócz mnóztwa literacko-naukowych artykułów, ogłoszonych w różnych pismach peryodycznych, krom nieprzeliczonych sonetów przygodnych, ważniejsze prace poetyczne Hektora Marcuccego są następujące: *Męczennik z Mugnario*, *Żywot Ś. Pacyfika*, *Epizod z historyi rodzinnéj*, *Łzy*, przekład z portugulskiego, *Salfo i Tauna*, przekład z hiszpańskiego, *Przysięga*, hymn narodowy na rok 1859 pisany, hymn na cześć obrońców jedności włoskiéj etc. Do prac dydaktycznych należą: *Listy Filipa Sassettego* wydane w 1855 r. i *Listy Hannibala Caro* do użytku szkolnego zebrane i objaśnione w 1859 r. Szereg prac literackich zamyka uporządkowanie i ogłoszenie wszystkich pism Lucyana Rocchi'ego, który był jego professorem, i przekład obszernego poematu naszego lirnika p. t. *Spartak*.

Przez redakcyę tutejszego Przeglądu Europejskiego proszeni jesteśmy o zawiadomienie za pośrednictwem pisma waszego panów autorów i wydawców, aby jéj swe nowości nadsyłali pod adresem: *Redazione della Rivista Europea, Firenze via Falfonda Nr. 79*, jeżeli życzą sobie mieć o nich odpowiednią recenzyę. Dzieła przysłane inaczéj jak pod przepaską pocztową, przez Redakcyę przyjmowanemi nie będą—a to dla uniknienia licznych formalności na komorze, jakim podlegają książki przesłane w pace lub obszyciu płóciennném.

# OBRAZ

## Wychowania publicznego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnéj.

*Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 95).*

### ROZDZIAŁ VIII.

Nim przejdziemy do opisu wychowania uniwersyteckiego i specyalnego, wypada jeszcze cokolwiek wspomnieć o seminaryach pedagogicznych, o zjazdach nauczycieli, o ich społeczném stanowisku, o wychowaniu przymusowém i t. p.

A najprzód co do wychowania przymusowego. Pod tym względem nie masz jednolitego prawodawstwa. W niektórych prowincyach są dosyć wysokie kary za nieposyłanie dzieci do szkoły; w innych nie ma. Lecz za to jest prawo wymagające, żeby rodzice nie posyłając do szkoły publicznéj dziecka dali mu edukacyą odpowiednią téj, jaka się udziela w szkołach publicznych. Tak więc w gruncie znaczy to samo co przymus. Rządy pojedynczych prowincyj i rząd centralny szanując swobodę osobistą w jak najrozleglejszym zakresie, sądzą że nie można zostawić człowiekowi swobody do zostania w ciemnocie. Opinia też publiczna wcale się nie skarży na podobne ograniczenie wolności. Nauczyciele i władze szkolne miejscowe obowiązani są czuwać nad wykonaniem prawa, a w razie ubóstwa rodziców, postarać się o odzież lub książki dla dzieci. Obecnie co do tego ostatniego punktu już prawie we wszystkich prowincyach dzieci otrzymują nietylko wychowanie bezpłatne, lecz także i wszystkie książki, ołówki, papier dostają darmo. Wydatki na te potrzeby wynosiły np. w Filadelfii dla 75,000 uczących się 340,000 franków rocznie.

Odnośnie do karności szkolnéj nie ma jednostajnego kodeksu. W niektórych prowincyach kary cielesne utrzymano, w innych zniesiono. okazuje się przecież powszechne dążenie do usunięcia tego środka poprawy. Za cięższe przekroczenia, następuje wydalenie ze szkoły.

Położenie społeczne nauczycieli i nauczycielek jest dość korzystne. Cieszą się powszechnie szacunkiem, pobierają wcale dobre wynagrodzenie, które chcianoby powiększyć i niezawodnie do tego dojdzie. Nauczycielki są niżéj płatne. Przełożeni rozmaitych szkół pobierają w okrągłych cyfrach po 23, 17, 15, 13, 11, 10 tysięcy franków, a to stósownie do ilości uczniów uczęszczających do szkoły. Nauczyciele pobierają po 8, 7, 5 tysięcy franków, nauczycielki po 4, 3, 2 tysiące franków.

Dla podniesienia skali naukowéj samego ciała nauczającego, nauczyciele wraz z nauczycielkami odbywają zjazdy czyli konferencye, na których roztrząsają się pytania z zakresu pedagogii. Pytania te bywają niekiedy oryginalne. Tak np. na jednéj konferencyi rozbierano pytanie czy do szkoły należy stósować system monarchiczny czy demokratyczny. Jeden z professorów stronnik systematu republikańskiego, przytaczał za przykład akademię w Buffalo, gdzie uczniowie sami układają przepisy szkolne i czuwają nad ich wykonaniem; stanowią czy mają być lekcye, czy nie; mogą wydalać niepoprawnego towarzysza, krytykować nauczyciela gdyby ten przekroczył granicę swoich atrybucyj i t. p. Ludzie godni wiary zaręczali panu Hippeau, że szkoła w Buffalo jest mimo tego systematu wzorową co do karności i postępów w naukach.

Konferencye nauczycielskie jakkolwiek bardzo użyteczne, nie wystarczyłyby do wyrobienia dobrych pedagogów; dla tego też istnieją szkoły moralne czyli seminarya pedagogiczne, w których się kształcą przyszli nauczyciele do szkół elementarnych i gramatycznych. Podobnych seminaryów było w Unii w r. 1867 dwadzieścia kilka. Zwykle przy seminaryum jest szkółka, w któréj przyszli pedagodzy praktycznie się zaprawiają do uczenia. Bardzo wielu nauczycieli wychodzi z tak zwanych akademij o których wyżéj była mowa. Program nauk w seminaryach pedagogicznych jest rozległy, prawie taki, jak w naszych uniwersytetach.

Wszystko cośmy dotąd mówili odnosiło się do wychowania zwanego w Europie elementarném i średniém. Szkoły téj kategoryi są następujące: Początkowe, oraz mnóztwo wieczornych, gramatyczne, wyższe, akademie, normalne, i nareszcie kolorowe, to jest negierskie. Wszystkie te zakłady naukowe sposobią młodzież ogólnie że tak powiem. Plany tak są ułożone, by dziecko po skończeniu którejkolwiek z nich mogło albo od razu przejść do życia praktycznego odpowiednio do swojego stanu i środków; albo też daléj się uczyć w kollegiach, uniwersytetach i szkołach specyalnych. Na przejście kursu początkowego, gramatycznego i wyższéj szkoły liczy się lat 12. Że zaś nauka zaczyna się od 5 lub 6-go roku życia, zatém do kollegiów, uniwersytetów lub szkół specyalnych przychodzi młodzież w wieku między 18 a 20-tym rokiem życia.

### ROZDZIAŁ IX.

Uniwersytety. — Szkoły specyalne.

Szkoły wyższe i specyalne powstały częścią z funduszu publicznego, częścią z domów prywatnych, a przeważnie z podatku szkolnego. Amerykanie mogą stanąć za przykład staréj Europie pod względem hojności prywatnéj na cele naukowe. Wprawdzie i w Europie dawnemi czasy nie brakło podobnych dobroczyńców; lecz dzisiaj rzadko o nich słyszymy. Oto kilka szczegółów co do prywatnych darów. Wspomniany Peabody złożył następujące summy: 5,340,000 franków dla instytutu w Baltimone; 10,680,000 dla muzeum dla kollegium Yale (w Newhaven); 800,000 fr. dla kollegium Harvarda; 1,335,000 fr. dla szkoły w Danvers; 257,000 fr. dla muzeum w Salem; 1,335,000 fr. na edukacyę dla prowincyi Maryland. Mniéj kolosalne ale zawsze ogromne sumy złożyli dla rozmaitych zakładów naukowych: Erza Cornell, Salisbury, Bornton, Girard, Astor, G. Streel, Walker i inni. Wiele katedr przy uniwersytetach zawdzięcza swój byt równie darom prywatnym.

Szkoły wyższe rządzą się tym samym systematem co niższe i średnie; są od siebie niezależne, nie zależą też od żadnego centralnego punktu, któreby przepisywało plan i zakres nauk, mianowało profesorów, oznaczało książki do wykładu i t. p. Szkoły wyższe zależą od rady szkolnéj wybieralnéj lub od opiekunów ustanowionych przez twórcę jakiegoś zakładu.

Pomimo téj rozmaitości i niezależności widzi się w nich jedność i podobieństwo, albowiem szkoły jednéj prowincyi służą za wzór drugiéj, i tak się wytwarza podobne ich urządzenie. Publiczność bardzo się zajmuje wszystkiemi zakładami naukowemi, wyznacza nagrody w dollarach dla wzorowych uczniów, którzy przy téj

zasłużonéj pomocy mogą kończyć rozpoczęte nauki; dzienniki podnoszą wszystkie sprawy szkolne z zamiłowaniem i rozsądkiem, znać że wszyscy rozumieją, iż oświata publiczna jest dziełem wielkiéj wagi i nie powinna być obojętną dla nikogo. W roku 1869 liczono wyższych szkół w Unii około 290, do których uczęszczało młodzieży około 80,000. Profesorów przy tych zakładach było 3,000, a biblioteki należące do kollegiów liczyły 1,800,000 tomów.

Zakłady naukowe wyższe otwierają się zwykle w miejscowościach nieludnych, niedaleko wielkich miast, w okolicach przychylnych dla zdrowia. Zakład składa się z licznych zabudowań przeznaczonych na kaplicę, audytorya, bibliotekę, muzeum, gabinet, słowem mieści wszystko co potrzebne do nauki. W środku stoi mieszkanie naczelnika zakładu. Tuż znajdują się eleganckie mieszkania dla profesorów. Kilkadziesiąt rodzin zamieszkujących taką osadę naukową, dają pomieszczenie młodzieży. Studenci nie podlegają żadnéj osóbnéj dyscyplinie, słuchają wykładów profesorskich, ale najdzielniejszym środkiem kształcenia jest dla nich praca prywatna. Praca taka jest możebna, albowiem szkoła ma wyborne gabinety, ogromną, doborową bibliotekę, wszelkie narzędzia naukowe i chętną pomoc profesorów. Studentom dozwala się czytać wszelkie dzienniki.

Uniwersytety które miały największą liczbę słuchaczów szły w następującym porządku: Ann-Arbor (Michigan) 1,225; kollegium Oberlin (Ohio) studentów obojga płci 1,136; uniwersytet Madisona (Wisconsin) 775 i t. d. Z liczby 290 szkół wyższych tylko 90 utrzymuje się kosztem prowincyj w których się znajdują, a tém samém otwarte są dla młodzieży wszelkich wyznań. Pozostałych 200 zawdzięczają swój byt albo prywatnym osobom, albo też wyznaniom religijnym. I tak metodyści mają wyższych szkół: 59; baptyści 39; prezbiteryanie 32; katolicy 31; episkopalni 15; luteranie 12; kongregacyonaliści 11; synowie Chrystusa 4; uniwersaliści 2; unitarze 2; reformowani niemieccy 2; przyjaciele (w Lebanon) 1; uczniowie 1; kamphelliści 1; swedenbongianie 1.

Oprócz tych szkół noszących nazwę uniwersytetów lub kollegiów było w Unii 83 seminarya teologiczne, a między temi 15 katolickich.

Do wyższych szkół liczą się: szkoła wojskowa w Westpoint i szkoła marynarki w Annapolis. Szkół medycznych liczono 51; szkół prawa 22, oraz liczne szkoły rolnicze (22 dotąd). Kollegia i uniwersytety mają prawo nadawania stopniów naukowych: bakałarza, magistra i doktora, posiadanie których jak z jednéj strony jest uwieńczeniem pracy naukowéj, tak z drugiéj daje możność zajmowania pewnych urzędów.

Brak jest szczegółowych wiadomości o szkołach wyższych w każdéj prowincyi; dla tego podajemy tu tylko niektóre cyfry dotyczące prowincyi new-yorskiéj. Liczono w niéj w r. 1868 445 akademij, 20 kollegiów lub uniwersytetów i 10 szkół medycznych. W niektórych chłopcy i dziewczęta pobierają wspólnie edukacyę. W New-Yorku Jezuici mają kollegium doskonale prowadzone, które w r. 1868 liczyło 568 studentów. Kościół i gmach szkolny oszacowane są na 1,750,000 franków. Studenci płacą za naukę. Jest nadto w prowincyi new-yorskiéj jedna szkoła medyczna dla samych homeopatów, a druga dla samych dentystów.

Dawni wychowańcy uniwersytetów zachowują pamięć koleżeńskich stosunków bardzo sumiennie. Zbierają się zwykle co rok w zakładzie, słuchają z namaszczeniem modlitwy odmawianéj przez prezesa, potém śpiewają hymny narodowe. Następuje łacińska mowa którego ze studentów, potém przemawia inny i tak starzy z młodymi zawiązują nici spółczucia na dalsze lata.

(*d. c. n.*)

# BIBLIOGRAFIA.

Przyczyny podziału monarchii polskiéj po Bolesławie Krzywoustym w wieku XII przez K. B. Hoffmana. Kraków 1872.

Autor zamierzył wyjaśnić rzeczywiste i polityczne motywa podziału Polski po Krzywoustym, odkryć tajemne sprężyny które go przywiodły do skutku, i nareszcie dać obraz głównych momentów dwudziesto-letniéj walki, którą musiano prowadzić, żeby go zamienić w czyn dokonany.

Fakt podziału monarchii polskiéj po Krzywoustym nosi jeszcze w dziejopisarstwie naszém barwę legendową. W opowiadaniu Kadłubka o osnowie testamentu Krzywoustego—opowiadaniu nieskończenie ważném, jako opartém na zeznaniu naocznego świadka—nic jeszcze nie ma legendowego. Przytoczone w niém słowa Bolesława wydają się bredzeniem gorączkowém konającego, albo stylistyczném cudactwem samego kronikarza. Pierwszy Boguchwał opierając się na *Vita sancti Stanislai* p. brata Wincentego, umotywował rozkład monarchii legendą. *Żywot św. Stanisława* po raz pierwszy dał dziejom naszym podstawę religijno - kościelną i ustrój, w którym wiara zastąpiła wiedzę. Podług wersyi żywociarza, podział ten nie był czém inném jak karą boską spuszczoną na naród za spełnione przez Bolesława Szczodrego na biskupie Stanisławie morderstwo. Anegdota o „wąsągu" i wozie zjawiająca się u Długosza, nadaje przyczynom podziału kraju przynajmniéj półlegendowy charakter. Wersya Długoszowa stała się już ewangielią dla wszystkich późniejszych dziejopisów aż do naszych czasów.

Zkądinąd znowu wszyscy dziejopisarze nasi od Kadłubka opłakują nieszczęścia kraju z podziału monarchii Bolesława wynikłe, a przez dziwną jakąś sprzeczność potępiają tego, który usiłował podziałowi zapobiedz, o całość państwa bój toczył, i padł téj gorliwości ofiarą.

Wiadomo, że Naruszewicz, a za nim inni, obwiniają Bolesława Krzywoustego, że „wyjąwszy z pod władzy monarszéj silniejsze zawsze pod jedną głową królestwo, podał je na kilkowieczną książąt szarpaninę." P. Hoffman usiłuje oczyścić pamięć walecznego monarchy z powyższego zarzutu, dowodząc, że Bolesław pragnął zachować monarchię w całości i pod jednym zawsze zwierzchnikiem. Wieki XI i XII stanowią epokę przewagi władzy duchownéj papieżów nad złamaną potęgą cesarzów i królów. Cały organizm zachodniéj i południowéj Europy opierał się na systemie feudalnym. Ówczesne monarchie nie były już monarchiami, ale raczéj federacyami wazalstw rozmaitego stopnia, związanych z władzą najwyższą obowiązkiem honorowego jedynie posłuszeństwa. W Polsce, nieznającéj jeszcze instytucyj feudalnych, panowała zawsze, jeśli nie w praktyce to w teoryi starosłowiańska idea równości działów nawet na tronie, idea grożąca państwu rozbiciem, ile razy monarcha zostawiał więcéj niż jednego dziedzica. Główne źródło wewnętrznych niepokojów leżało w nieustalonych jeszcze stosunkach dynastycznych, w nieskreśloném prawie dziedzictwa korony pomiędzy członkami panującego domu. Ażeby pogodzić dobro kraju z dobrem rodziny, Bolesław nie widział innego środka, jak urządzić legalne i stałe stosunki dynastyczne i przenieść do Polski prawidło, jakiego już od kilku wieków trzymała się zachodnia Europa, mianowicie zaprowadzić seniorat i prymogeniturę—instytucye wynikające z systematu feudalnego, które nie nadwerężając prawa dziedzictwa należnego potomkom, poddawały ich tylko pod pewne wzajemne warunki i obowiązki. Zaopatrzywszy wszystkich synów wiadomemi prowincyami, Bolesław mianował jedynym po sobie monarchą najstarszego syna Władysława z tytułem różniącym go od innych, Wielkiego księcia; zalecił młodszym posłuszeństwo jego rządom, jako monarsze i opiekunowi, i zawarował, aby najwyższa władza służąca najstarszemu z księztwem krakowskiém, przechodziła odtąd prawem prymogenitury zawsze na najstarszego z rodu. Przysięga biskupów zastąpiła w tym razie homagium czyli hołd ze strony małoletnich, a tém samém była jednym z kardynalnych aktu testamentowego rozporządzeń. Tak więc podług autora nie było tu wcale „wyjęcia młodszych książąt z pod władzy starszych," o którém mówi Naruszewicz i inni dziejopisarze.

Przed opowieścią wypadków które zaszły po śmierci Bolesława Krzywoustego, autor mówi obszernie o ostatniéj małżonce jego Salomei, o któréj historycy dawniejsi wcale nie wspominają. Najważniejszém dla autora źródłem w téj mierze były roczniki klasztoru zwiefalteńskiego, Salomea po śmierci męża zachowała w kraju, a przynajmniéj w dzielnicach przeznaczonych małoletnim swym dzieciom, pewne polityczne stanowisko, które dziś trudno określić. Dysponując na rzecz klasztorów ziemiami leżącemi w dzielnicach jéj synów, używa praw monarchom tylko właściwych. Miała też prawo zwoływania sejmów (sejm Łęczycki 1141 r.) i już w drugim roku swego wdowieństwa zostawała jeśli nie w otwartéj wojnie to przynajmniéj w naprężonych ze swoim pasierbem stosunkach. Zresztą z obszernego ustępu o Salomei czytelnik nie wiele wiadomości historycznych wyniesie.

Następnie autor przechodzi do opowiadania zdarzeń politycznych, jakie poczęły się objawiać po zatwierdzeniu przez sejm 1140 roku reformy konstytucyjnéj, testamentem Bolesława Krzywoustego zaprowadzonéj po objęciu rządów nad całém państwem przez Władysława II w charakterze seniora i wielkiego księcia i po rozjechaniu się młodszych jego braci do przeznaczonych im dzielnic. Autor rehabilituje pamięć Władysława i Agnieszki, których politykę wszyscy historycy nasi nazywają zbrodniczą, niechrześciańską, przeciwną prawom boskim i ludzkim; gdy przeciwnie postępowanie Władysława było umiarkowane i skrupulatne, i wszystko przemawia za tém, że nieszczęśliwy ów książę miał szczerą chęć załatwienia sporu z braćmi na drodze dobrowolnego porozumienia, za wiedzą narodu i bez gwałtu, w sposób zatém którego bynajmniéj nie trzymali się pierwsi Piastowie. Przez ten czas potworzyły się już były w otoczeniu małoletnich książąt interesa, dla których rozdrobnienie królestwa stawało się wielce pożądaném. Władysław uciekł się do wojny wtenczas dopiero, kiedy się przekonał, że inaczéj nie przełamie uporu stronników rozkładu kraju. Cały spór stronnictwa popierającego rozdrobnienie monarchii był zrazu tylko czasowy; przecięła go interwencya papieżka, wyświecona dzisiaj autentycznemi dowody, a detroniza-

*Dalszy ciąg w dodatku.*

Do niniejszego numeru dołącza się dodatek.

# DODATEK DO „WIEŃCA” Nr. 96-go.

cya starszéj linii Piastów, oraz podział monarchii nigdy nie miałyby miejsca, gdyby nie prześladowanie jednego możnego magnata Piotra Własta Dunina i spisek jego mścicieli. Autor opiera się w tym punkcie na ciekawéj monografii p. Augusta Mosbacha p. t. „Piotr syn Włodzimierza, sławny dostojnik polski w XII wieku.”

Co do rzeczywistych przyczyn podziału monarchii, pierwszy Długosz wyznaje, że po za plecami młodych tetrarchów działały zapłacone fakcye, nieprzyjazne idei wolności władzy najwyższéj. Autor wyświeca, że najpotężniejszym czynnikiem zgubnego dla kraju przewrotu był episkopat polski, idący w téj mierze ręka w rękę ze świeckiém możnowładztwem. Dla tego to biskupi oparli się bulli papiezkiéj i nie przyjęli rzuconéj na siebie klątwy, dając tém dowód, że wcale nie uważali podziału kraju za karę boską, wywołaną męczeństwem św. Stanisława, jak ją uważali następcy o sto lat późniéj.

Niektórzy dziś jeszcze, spoglądając na rzeczy z jednego tylko stanowiska, utrzymują, że podział monarchii wyszedł Polsce na dobre; obudził bowiem w narodzie ducha wolności, ducha działalności politycznéj, za pomocą którego pod ostatniemi Piastami wróciła do swéj jedności.

Rzeczywiście „Polska zyskała wolność, ale wolność uprzywilejowaną w miejsce starodawnéj wolności ogólnéj, nieskażonéj żadnym feudalizmem i tak patryarchalnie pielęgnowanéj przez pierwszych Piastów. Jeśli samo tylko zniweczenie władzy królewskiéj było korzyścią, to tę korzyść zapłaciła Polska za drogo, bo poświęceniem najnaturalniejszych i najbezpieczniejszych podstaw swéj niepodległości i bezpowrotną utratą połowy swych dzierżaw.” Sami dziejopisowie niemieccy nie tają ile podział Polski po Krzywoustym przyczynił się do podniesienia i ugruntowania potęgi germanizmu. „Ciężki grzech mówi Hüppe, popełnili Polacy porzucając swą politykę względem Niemiec. Ów grzech wpłynął radykalnie na ich późniejsze losy. Kiedy Bolesław Wielki uważał za kwestyę żywotną trzymać się linii granicznéj, którą stanowiła Elba; kiedy Bolesław krzywousty obracał główne swe siły na podbicie Pomorza, słabi ich następcy, podzieliwszy między siebie monarchię, nietylko pozwolili opanować góry Olbrzymie, Odrę i morze baltyckie, ale otworzyli im śluzy we własne swe łono.” „Jakżeby był odmienny rozwój Polski—mówi Köppel—gdyby Polacy nie wyrzekli się byli prądu na zachód, prądu, którym tak mądrze kierował Bolesław Wielki. Późniejsze zabory germanizmu nigdyby się nie były powiodły i wszystkie plemiona słowiańskie pomiędzy Odrą a Elbą pozostałyby były w swoich siedzibach.” Sam Długosz, który tak namiętnie podzielał uprzedzenia pierwotnych kronikarzy przeciwko Władysławowi i Agnieszce, tak zaciecie bronił praw młodszéj linii Piastów przeciwko starszéj przyznaje przecież w końcu, że od podziału monarchii „przepadła wielkość i potęga Polski, któ- re tylko przy całości państwa osiągnione być mogą.”

Właściwie dziełko p. Hoffmana nic nowego nie wniosło do historycznéj wiedzy. Rehabilitacya Krzywoustego nie bardzo się powiodła autorowi, szczęśliwiéj mu poszło z obroną Władysława II. Domysły o rządach Salomei i uczestnictwie Władysława w wyprawie krzyżowéj r. 1147—48 małéj są wagi. Pomimo to książka czyta się z pożytkiem. Z usterek co do historycznych zdarzeń wytkniemy wzmiankę o bitwie na Psiém polu, któréj podług wszelkiego prawdopodobieństwa nie było. Język dość ciężki i przepełniony wyrazami obcemi albo niewłaściwemi (ignorować, odpisywać, trop w trop i t. d.). Symetryę części psują ogromne zboczenia, poświęcone klasztorowi benedyktynów zwiefalteńskich i stosunkom ich z Salomeą.

---

## DAGOBY I SŁUPY.
### MOGIŁY I KOPCE.

Wielu pracuje nad odszukaniem tego co nas, ludzi, od siebie nawzajem odróżnia i dzieli, wielu też nad badaniem do tych pierwiastkowych punktów wyjścia które nas łączą, które wspólnemi cechami człowieczéj natury nawiązują rozerwane węzły braterstwa.

Pierwsi odkrywcy Ameryki znaleźli Meksykan pod niektóremi względami tak ubranych jak Greków i Rzymian w ostatniéj fazie zbytkowego rozwoju ich stroju; Himatjon purpurowy drogiemi kamieniami naszyty i kosztowną fibulą na ramieniu spięty, był im znany w nieznanéj nikomu Ameryce, niemniéj rodzaj jakby szkaplerza, ornatu czy dalmatyki przez głowę wkładanéj—na szczątkach budowli o których początku współcześni odkryciu Kolumba meksykanie głuche już tylko mieli podania, napotkano rodzaj ozdoby zbliżonéj bardzo do greckiego meandru, (linii łamanéj zwanéj pospolicie grecką).

Wspólności takich przykłady w wytworach pracy ludzi pierwotnych, rozwijającéj się na podstawie pojęć religijnych, czci bohaterów, lub skutkiem ogólno-ludzkich potrzeb codziennych, niebrakuje w żadnéj dziedzinie działalności; ztąd pierwociny budowania pomników grobowych i świątyń u wielu narodów mają bardzo widoczne cechy jedności form.

Najpowszechniejszym kształtem pierwszych jest postać kopca czy to iż pod względem trwałości jest najwytrzymalszą, czy że przy wytrzymałości do ogromnych dojść może rozmiarów. Napotykamy ją u rozmaitych narodów a nawet plemion najmniejszą na pozór niepołączonych wspólnością pojęć i krwi.

Egipskie piramidy, greckie (*) i rzymskie mauzolea, tarasowe świątynie assyryjskie, indyjskie słupy, Dagoby i Pagody, nareszcie na ziemi naszéj rozsiane kopce i mogiły, sięgające niezapisanych w historyi wieków, jeden wspólny mają pierwiastek tak pod względem przeznaczenia jak i kształtu a częstokroć nawet szczegółów konstrukcyjnych. Nas najbardziéj zajmować mogą i powinny pomniki indyjskie raz dla tego że europejski ród cały ztamtąd się wywodzi, powtóre iż w nich przechowało się najdokładniejsze do naszych podobieństwo. Tkwi ono w saméj już nazwie, *stupa* bowiem znaczy dosłownie *kopiec grobowy*, *dagoba* tłómaczy się przez *mogiłę*.

Przechowane do dziś dnia niektóre stare dagoby (ryc. Nr. 1) nie są niczem innem jak kopcami ziemnemi ogromnéj wielkości bo dochodzącemi od 70—80 do 200 stóp wysokości na równie wielkiéj podstawie usypanemi na celach grobowych na cześć szczątków Buddy. W dalszym rozwoju doszły one do tego iż je umieszczono na podmurowaniu z wielkich głazów granitowych (ryc. Nr. 2) aż póki się nie rozwinęły w ogromnéj wysokości i niezmiernego ornamentowego bogactwa przyrody.

(*) Tak zwany grób Tantala niedaleko Smyrny—grób Cecylii Metelli, mauzolea Augusta i inne.

Kopców, mogił okopisk, usypisk różnego rodzaju mieszczących w sobie zwłoki jakichś z zamierzchłéj przeszłości bohaterów na ziemi naszéj niebrakuje, wspomnienia o czci bożyszczom oddawanéj na wysokich Sobotowych górach pozostały w podaniach ludowych, atoli rozwój tak idei religijnéj jak i zarodów form budowlanych powstrzymany został na długo u plemion które z Indyi do Europy przeniosły się i dopiero nowy podniosły duch chrystyanizmu, obudził w nich drzemiące w długim spoczynku zarody pojęć stylowego wyrażania się na zewnątrz w formach architektonicznych.

Po wielu wiekach tąż samą zasadę pionowego piętrzenia się świątyń bożych jaką znajdujemy u Indyan, indo-europejskie plemiona rozwinęły pod nazwą stylu ostrołukowego, w którego bogactwie i fantazyjności motywów niepodobna niedojrzéć pokrewieństwa z wybujałością fantastyczną budowli Indów.

---

## ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

### Gmina pierwotna i teraźniéjsza.

*Dokończenie.* (*Ob. Nr. 95*).

Na sądzie udział gminy wyrażał się bądź przez to, że przedstawiciele jéj, tak zwani scabini, szeffen, junati, przysiężni, celowalniki i t. p. razem z urzędnikiem panującego wydawali wyroki, bądź przez to, że służyli za świadectwo czyli wyrażenie opinii publicznéj o obwinionym współobywatelu, co wtedy było zupełnym dowodem winy lub niewinności. Ostatni obowiązek gminy rozwinął się szczególniéj w Anglii, i był pierwszym zawiązkiem wchodzącéj dziś coraz bardziéj w życie instytucyi sądów przysięgłych.

Ze wzrostem władzy monarchicznéj i te słabe ostatki samodzielności znikły. Gmina straciła właściwy swój charakter jako zebrania ludzi w celu wspólnego załatwiania interesów dotyczących ogółu i stała się podziałem administracyjnym, pod bezpośrednią władzą naznaczonego urzędnika.

Gmina pierwotna, rodowa ze swą wspólnością majątkową wypływała z naturalnego biegu rzeczy i była jedyną możliwą organizacyą zdolną zapewnić swym członkom egzystencyę w owe czasy. Lecz ta okoliczność nie nadaje jéj bynajmniéj wiecznotrwałego znaczenia. Upadek jéj był również konieczny i naturalny jak i powstanie; wywołał go szereg nowych potrzeb, którym dawny byt nie mógł zadosyć uczynić i musiał ustąpić nowéj wyższéj organizacyi. Gmina pierwotna skończyła swoje cywilizacyjne posłannictwo skończyła go na zawsze, i jeżeli się gdzie niegdzie przechowała do naszych czasów, bądź w przyrodzonéj, bądź w innéj podobnéj formie, przechowała się sztucznie zbiegiem szczególnych okoliczności, i w każdym razie ujemny na postęp wpływ wywarła. Nie dziw więc że po zniesieniu opieki prawa, pod którą wspólność rodzinno-gminna zostawała (mianowicie w Rossyi do roku 1861, a u południowych Słowian do roku 1836), coraz bardziéj chyli się do upadku, i wkrótce zapewne wspomnienie tylko po sobie pozostawi.

Pomimo to wspólność taka była powodem

wielu rozpraw i sporów, i po dziś dzień liczy jeszcze swych zwolenników. Za główną jéj zasługę poczytują, że chroni od proletaryatu, że przy niéj każdy ma jakiś punkt oparcia, który mu pozostaje w odwodzie jeżeli starga siły do pracy. Bezwątpienia, zdanie to nie jest bezzasadne, ale tylko w części. Proletaryat zależy od wielu przyczyn, i nie ma ogólnego środka któryby mógł nań zaradzić w każdym czasie i w każdém miejscu. Chodzi tu głównie o to, żeby klasa pracująca mogła mieć odpowiedni kapitał zapasowy na wypadek braku pracy, lub innych czasowych przeszkód utrudniających zarobek. Osiągnąć zaś to można wtedy jeżeli płaca robotników będzie tak wysoka, że po opędzeniu codziennych potrzeb zostanie jeszcze cząstka do zaoszczędzenia. Bezpośrednia przyczyna zbyt nizkiego wynagrodzenia za pracę, leży w stosunku pracy do kapitału, w eksploatacyi robotników przez kapitalistów. Tylko połączenie w jednéj osobie charakteru robotnika i przedsiębiercy może zaradzić temu złu, a to da się jedynie osiągnąć przez stowarzyszenie robotników, mianowicie z celem produkcyjnym. Wspólna własność w tym względzie nie ma stanowczego wpływu. Z jednéj strony nie jest ona w stanie ochronić od proletaryatu, mianowicie w krajach bardzo zaludnionych, z drugiéj zaś jest zbyteczną jeżeli z powodu małéj ludności, nie ma zbytniéj konkurencyi pracy, lub jeżeli istnieją dobrze urządzone stowarzyszenia produkcyjne.

Co się zaś tyczy złych stron wspólności, to są one niezaprzeczone. Pierwsza z nich stosująca się mianowicie do Wielkoruskiéj własności gminy i peryodycznego podziału gruntów, jest niemożliwość ulepszeń agronomicznych; nikt bowiem nie zechce wkładać kapitału, z którego korzyści tylko po pewnym czasie może osiągnąć w przedmiot, który tylko czasowo jest w jego posiadaniu. Każdy stara się wyciągnąć z ziemi jak najwięcéj z jak najmniejszym nakładem, przez co wyniszcza jéj siły produkcyjne, i zmniejsza coraz bardziéj korzyści, jakie z gruntów dałyby się wyciągnąć. Zbyt może jaskrawo, lecz w każdym razie trafnie wyraża powyższe zdanie Artur Young w swojéj: „Voyage en France" następującemi słowami: „Dajcie człowiekowi dziką skałę na własność, a zmieni ją w najpiękniejszy ogród, dajcie mu ogród w dzierżawę na 9 lat, a zobaczycie że go zmieni w pustynię." Zresztą kwestya ulepszeń gospodarskich w tym razie mniéj jest ważną niż się to może wydawać, gdyż okolice gdzie zwyczaj podziału jeszcze się zachował z powodu swych naturalnych warunków nie potrzebują jeszcze tak bardzo do nich się uciekać. Daleko cięższy zarzut który można zrobić w ogóle wspólności majątkowéj jest brak silnéj pobudki do pracy. Tylko interes własny i pewność że wszystkie owoce pracy dostaną się temu kto się jéj poświęcał, może podniecić w całém znaczeniu działalność człowieka. Z drugiéj strony wspólność majątkowa niekorzystnie wpływa na oszczędność swych członków zabezpieczając im, ich dzieciom pomoc i opiekę w razie niezdolności do pracy, i to bez względu na zasługi i wszystkim w jednym stopniu. Wreszcie wspólność gminna wyjmuje ziemię z obiegu i tym sposobem jest przeszkodą do nabywania jéj osobom niezależnym do składu gmin, a tymczasem nadziejazostania w przyszłości właścicielem kawałka gruntu jest jedną z ważniejszych podniet robotników do pracy i oszczędności.

Po wszystkiem co dotychczas było powiedziane, nasuwa się pytanie, czy gmina żadnego nie ma już znaczenia, czy bezpośrednio straciła prawo bytu? Na pytanie to odpowiemy przecząco. Jakkolwiek własność gminna musiała ustąpić indywidualnéj, jest przecież wiele innych interesów wspólnie dotyczących wszystkich mieszkańców pewnéj okolicy, które przechodzą granicę działalności pojedynczego człowieka, a które z wielkim pożytkiem mogą być włożone na gminę. Chcę tu mówić o samorządzie gmin to jest o oddaniu w ich ręce zawiadywania rozmaitemi miejscowemi potrzebami jako to: wychowaniem, dobroczynnością, środkami komunikacyi i t. p. z prawem wkładania podatku na ich zaspokojenie. Wszystkie te warunki nie znane jeszcze w okresie rodowo-gminnym, pojawiwszy się późniéj zaabsorbowane zostały przez władzę centralistyczną, która je powierzała swoim urzędnikom, i kierowała niemi bez udziału narodu stósownie do swych potrzeb i celów. Szkodliwość podobnéj centralizacyi wszystkich promieni życia narodowego w jedném ognisku coraz bardziéj uczuwać się daje; społeczeństwo dojrzało już o tyle, że może z pożytkiem zająć się niektóremi swojemi sprawami, a odmówienie mu w nich udziału coraz opłakańsze wydaje skutki. Przykład Francyi w ostatnich kilku latach jest smutnym dowodem, do czego przy obecnym stanie cywilizacyi może doprowadzić zbytnia centralizacya, która w niéj tak konsekwentnie w bieżącém stuleciu była przeprowadzona. Wszystkie strony życia narodu, we wszystkich swych gradacyach były regulowane przez całą drabinę biurokratyczną, z ministrem na wierzchu a merem u spodu. Cały ten zastęp kreatur jednego stronnictwa kierował podług swéj woli całym narodem; jego oświatą, moralnością, pojęciami i t. p., robiąc go tym sposobem ślepém narzędziem dynastyi. Lud odsunięty od spraw publicznych popadł w obojętność, krótkowidzący egoizm i obojętność na sprawy ogółu, nie wiedząc że tym sposobem działa przeciwko samemu sobie. Skutki takiego stanu rzeczy oczywiste, wszyscy byliśmy ich świadkami.

Lecz oprócz moralnego wpływu jaki samorząd wywiera na ludność, przynosi on nie mniejsze korzyści pod względem materyalnym. Przedewszystkiem uwalnia budżet od ogromnych wydatków na utrzymanie mnóztwa urzędników tak prowincyonalnych, jak i centralnych, a zarazem powiększa liczbą rąk zdolnych do pracy: posłużę się i w tym względzie przykładem Francyi. W roku 1831 liczyła ona w centralnych zarządach 139,000 urzędników z płacą 200,000,000 franków. Do roku 1848 liczba urzędników wzrosła do 174,000, a wynagrodzenie ich do 260,000,000 frnków. Z urzędników prowincyonalnych wiadoma była ilość prefektów, podprefektów i radców prefektalnych, którzy brali pensye od rządu, oraz merów, których mianował zarząd centralny. Co się zaś tyczy niższych urzędników przy prefektach, to liczba ich była tak ogromna, że trudno ją było ściśle oznaczyć. Podług przybliżonych obliczeń jednego z ekonomistów w roku 1850 było we Francyi 500000 urzędników. Jeżeli do tego dodamy drugie tyle armii, to wypadnie, że jedna osoba zostająca w służbie rządowéj przypadała na 12 czynnych obywateli, odjąwszy od 36,000,000 ogólnéj masy ludności 18,000,000 kobiet i 6,000.000 dzieci. Oddanie interesów miejscowych gminom zmniejszyłoby bez porównania liczbę urzędników. Niektóre czynności, jak np. pobór téj części podatków, która pozostawałaby na potrzeby gminne, lub kontrola władzy centralnéj nad niższemi urzędnikami, stają się zbyteczne; inne rozdzielają się między obywatelami co nie odrywając ich od zwykłych zajęć, oszczędza wiele niepotrzebnych wydatków.

Inną jeszcze korzyścią wypływającą z samorządu gminy jest gruntowniejsze i sumienniejsze zaspakajanie jéj potrzeb. Każda okolica ma swoje szczególne warunki, poznanie których jest nie zbędne dla osób zarządzających jéj interesami. Temu zaś warunkowi bezporównania łatwiéj mogą odpowiedzieć sami mieszkańcy gminy znający najlepiéj jéj potrzeby i zainteresowani w jak najskrupulatniejszem ich zaspokojeniu niż urzędnik przysłany z innych nieraz stron, i obojętny na powierzone sobie czynności, które go osobiście nie dotyczą. Mając na względzie własny interes i przypodobanie się zwierzchnikom, a przytém pozbawiony samodzielnéj władzy, trzyma się ślepo litery prawa, nie biorąc pod uwagę okoliczności, miejsca i czasu.

Nakoniec samorząd wpływa na szybkość załatwiania interesów; przy biurokratycznem urządzeniu administracyi, każde nowe przedsięwzięcie nim uzyska sankcyę, musi przechodzić przez mnóztwo instancyj i formalności, które odstraszają interesantów i skłaniają ich do zaniechania bardzo nieraz pożytecznych zamiarów. We Francyi na postawienie mostu którego kosztorys przechodził 500 franków potrzeba było potwierdzenia ministra; zaprowadzenie nowéj machiny parowéj wymagało 18-stu formalności, a urządzenie promu na rzece 26-ciu.

Pierwsze próby samorządu spotykamy w średniowiecznéj organizacyi miast. Podczas gdy cała zachodnia Europa przedstawiała powikłaną sieć feodalnych stosunków i władza monarchiczna postradała swą powagę; miasta zostawione samym sobie, zmuszone zostały pomyśleć o swém bezpieczeństwie i obronie przeciwko nadużyciom ze strony burzliwych wassalów.

W tym celu wytworzyły w sobie silną organizacyą z wybieralnym burmistrzem i ławnikami, która zwróciła swą działalność na wszystkie stosunki i potrzeby będące dotychczas w zaniedbaniu jako to na oświatę, handel, przemysł, bezpieczeństwo i t. p. i tym sposobem podniosła miasto do znaczenia jednego z najważniejszych czynników w średnich wiekach. Temu urządzeniu zawdzięczają miasta w owych czasach swą potęgę, która postawiła je w możności dyktowania swych warunków władzy monarchicznéj, gdy ta zażądała od nich pomocy do zniesienia feudalizmu; tak że do ostatnich czasów, pomimo ciągłéj dążności panujących do centralizacyi one jedne zdołały utrzymać resztki samorządu.

Co się tyczy gmin wiejskich, to tylko w jednéj Anglii, samorząd istniał w nich od dawnych czasow, i przechował się po dziś dzień tradycyjnie, z odrębnym arystokratycznym charakterem. Tylko ci z obywateli, którzy posiadają pewną normę majątkową mogą być członkami zarządów (boards) i instytucyi pokoju t. j. dwóch instancyj w sprawach gminy. Działalność ich rozszerzała się na wszystkie kierunki administracyi miejscowéj i to prawie wyłącznie z zupełném odsunięciem władzy centralnéj, która dopiero w bieżącém stuleciu zaczyna nabierać wpływu na te sprawy.

We Francyi samorząd pierwotnéj gminy pochłonięty został przez feudalizm, a następnie z nim razem przez władzę monarchiczną. Ostatnie jego ślady znikły w czasie wielkiéj rewolucyi i od téj pory datuje się owa nieograniczona opieka władzy tak, że nawet dozorcy pól (gardes champetres) i pasterze gminni (pâtres communaux) musieli być potwierdzani przez mera. Były wprawdzie przy urzędnikach rady złożone z obywateli, lecz nie miały najmniejszego wpływu na bieg interesów.

Samorząd pruski i w ogóle niemiecki nosi na sobie cechy średnich wieków i feudalizmu. Miasta tylko mają sobie samym zostawiony pewny udział w miejscowéj administracyi; gminy zaś wiejskie jakkolwiek także wybierają swój zarząd (Gemeindevorstand) i posyłają deputatów na zebrania (Prowincial und Kreisstände), zostają jednak pod opieką i nadzorem bogatych właścicieli ziemskich (Gutsherrn), którzy mają przeważny wpływ na ogólnych zgromadzeniach (mianowicie 4,810 głosów, podczas gdy miasta mają 523 a gminy wiejskie 635). Nad całym jednak samorządem dominuje władza centralna w osobie Landrata.

Ukaz 1864 r. wprowadził dość rozległy samorząd w Rossyi, organami którego są powiatowe i gubernialne ziemskie zebrania i zarządy złożone z obywateli wszystkich stanów i które coraz bardziéj rozszerzają swoją działalność.

*Karol Dunin.*

# TANIE KUCHNIE.

Zaledwie parę lat minęło od czasu, w którym pierwsza tania kuchnia urządzoną została w Warszawie, a już się dają słyszeć liczne na to żale, że powitana z zapałem, poparta w pierwszych chwilach swego istnienia poświęceniem, godném wszelkiego uznania, doznała w krótkim czasie powszechnego losu tego wszystkiego, co na wrażeniu jedynie oparte, t. j. zupełnéj obojętności. Z jednéj strony skarga, że niezbędna dla pomyślnego jéj rozwoju pomoc osób dobréj woli, nastręczająca się w pierwszych chwilach na wyścigi, gdy instytucya była jeszcze w modzie, coraz bardziéj się zmniejsza i staje niewystarczającą; z drugiéj zaś strony czytamy w miejscowych pismach żale na nieodpowiednie celowi prowadzenie kuchni i rozmaite plany dla podniesienia jéj lub też zastąpienia prywatnemi przedsiębiorstwami. Faktem jest niezaprzeczonym, że ani sprawozdania z obrotu tanich kucheń, ani zgromadzenia ich opiekunów nie budzą więcéj w publiczności tego zajęcia, jakie towarzyszyło pierwszym téj instytucyi krokom, a nawet zupełną napotykają obojętność ze strony publiczności. Czemże to się dzieje? Miałżeby w rzeczywistości sprawiedliwym być ów zarzut, który nam powszechnie robią, że wprawdzie wszystko co piękne i szlachetne, budzi w nas zapał i poświęcenie, lecz że to tylko ogień słomiany, który buchnie i wnet gaśnie, bez skutku i bez celu, bo nieposiadamy ani przezorności potrzebnéj do ugruntowania najważniejszego nawet przedsiębiorstwa na stałych podstawach, ani téj wytrwałości, by rzecz raz rozpoczętą utrzymać w pełni odpowiedniego ruchu i nadać jéj samodzielne i trwałe istnienie? Dla nas wszystkiem jest wrażenie. Gdy się raz nim nasycimy, rzecz, która je wywołała, staje się zupełnie obojętną i choćbyśmy najdotkliwsze z jéj upadkiem ponieśli straty, o jéj dalsze losy się nie troszczymy.

Nie mamy wcale zamiaru zapuszczać się w szczegółowy rozbiór sprawiedliwości lub niesprawiedliwości tych różnych skarg i żażaleń. Nie oto rzecz tu chodzi. Główna rzecz w tém: zdać sobie jasno z tego sprawę, czy instytucya tanich kuchen zasługuje rzeczywiście na nasze szczere i silne poparcie, czy jéj istnienie jest istotnie społeczną koniecznością i co czynić wypada, ażeby tę instytucyę, raz wskrzeszoną, podtrzymać i oprzeć silnie na samoistnéj podstawie, o ile to się da w naszych warunkach przeprowadzić? Według naszego zdania bowiem, cała przyczyna owego obecnie nie ze wszystkiem zadawalającego położenia taniéj kuchni leży w tém, że zaprowadzeniu jéj przewodniczyło raczéj uczucie aniżeli jasne pojęcie jéj społecznego znaczenia, jéj celu i tych środków, za pomocą których ten cel mógłby być dopiętym. Myśl się zrodziła, i jako szlachetna znalazła w chwili silne i chętne poparcie. Lecz jak ma być rzeczywista i na jakich podstawach daléj poprowadzona, z tego sobie widocznie z góry nie zdawano ścisłego rachunku. Tymczasem dla pomyślnego poprowadzenia całego przedsiębiorstwa, byłoby nieodzownem, postanowić sobie z góry następne pytania, których ścisłe i dokładne rozwiązanie jest niezbędném do pomyślnego poprowadzenia téj instytucyi.

*A najprzód:* Jaki cel społeczny mają tanie kuchnie? Jakiéj potrzebie one czynią zadość? Dla jakiéj klassy społeczeństwa mają one być przeznaczone? Rozwiązanie tego pytania przed wszystkiemi innemi jest koniecznem, gdyż od niego zawisło i zasadnicze rozwiązanie następnych. *Powtóre:* Jakich żywności i w jakiéj ilości można i trzeba użyć do sporządzenia jadła, ażeby główne cele taniéj kuchni mogły w zupełności być dopięte. *Po trzecie:* W jakiéj formie może i powinno być jadło podawane w tanich kuchniach? — i *po czwarte:* Jaka powinna być cena jadła? t. j. jakie warunki trzeba wziąść za podstawę ustanowienie ceny i czy ona ma być stałą, dowolnie oznaczoną, lub też powinna być zmienną? Wszelka przeto dyskussya nad tém, czy tanie kuchnie dotąd odpowiednio czy nieodpowiednio prowadzone, musi być bezowocną i nieużyteczną, dopókąd cztery powyższe pytania nie zostaną należycie roztrząśnięte, tak aby osiągnięte ztąd wyniki mogły posłużyć za podstawę do stanowczego rozstrzygnięcia powyższéj okoliczności i zarazem do ukazania zarządowi tanich kucheń właściwego i niezmiennego kierunku ich prowadzenia. W uwagach które podać zamyślamy, niechodzi nam więc o wynalezienie winy, jak raczéj o dostarczenie podstawy do dalszego właściwego poprowadzenia istniejącéj instytucyi.

Nim jednak przystąpimy do szczegółowego rozbioru powyżéj przytoczonych zadań, niech nam wolno będzie zwrócić pierwéj uwagę na jedno, w świecie powszechnie przyjęte i utarte mniemanie i porozumieć się dokładnie względem jego znaczenia, gdyż inaczéj nie bylibyśmy w stanie przeprowadzić naszego rozbioru z tą jasnością, jaka jest koniecznie potrzebną do należytego zrozumienia głównych podstaw taniéj kuchni. Rzecz chodzi o to, co należy rozumieć pod wyrażeniem: pożywność potrawy? Zwykle przypisują powszechnie pożywność prawie wyłącznie mięsnym tylko potrawom, uważając inne jak np. mączne, albo kartofle a nawet i jarzyny za mało albo całkiem niepożywne. I tak np. jeśli chodzi o to, by człowiekowi, wycieńczonemu pracą zbyteczną lub chorobą, wrócić siły i podnieść jego odżywienie, uciekają się wszyscy zwykle do mięsa, mianowicie do rosołu, w tém mniemaniu, że *tylko* mięsem to się da uskutecznić i nie pojmują wcale, że w pewnych wypadkach mięso mianowicie rosół zamiast zdrowia śmierć przynieść może. Tymczasem pomimo wszelkich i znakomitych zalet jakie mięso w téj mierze posiada, a które od wielu innych warunków, a nie od saméj tylko siły jego pożywnéj pochodzą, nie jest ono w téj mierze ani jedynem, ani też samo przez się tak pożywném, jakby to się na pozór wydawało. Pożywność jego nie jest bezwarunkowa, gdyż ono samo jedno życia utrzymać nie jest w stanie i zwierzę lub człowiek, karmieni wyłącznie mięsem, giną śmiercią głodową tak samo, jakby karmieni byli wyłącznie innemi pokarmami, np. kartoflami, które za mało pożywne są uważane.

Pojęcie pożywności pokarmu nie jest rzeczą tak prostą jakby się na oko zdawało. Organiczne sprawy, od których zawisło odżywienie organizmu, tak są zawiłe i od tylu nader zawikłanych stosunków i warunków zależne, że fizyologia w ostatnich dopiero czasach, opierając się na tysiącznych, nieskończenie mozolnych doświadczeniach wielu z niewyczerpaną cierpliwością i wytrwałością poświęcających się uczonych, przyszła do sformułowania głównych zasad pożywności, jéj podstaw i organicznych warunków.

Dla tego to orzeczenie, czyli jaki pokarm jest pożywnym lub nie, w jakim stopniu i w jakiém znaczeniu, nie jest rzeczą wcale łatwą; a nawet przy dokładnéj znajomości składowych części jego oraz warunków i praw rządzących sprawami odżywiania, jednak w wielu wypadkach nie jesteśmy w stanie niezaprzeczenie o tém stanowić. A cóż dopiero wtedy, jeśli ani o jedném, ani o drugiém nie ma się nawet i pojęcia. A jednak stosowne, celom odpowiednie poprowadzenie i powodzenie tanich kuchen zawisło w zupełności od dokładnéj znajomości tych wszystkich zasad.— Lecz cóż to jest pożywność?

Wiadomo, że przy każdéj czynności organizmu, czy to jest ruch fizyczny dobrowolny, lub mimowolny, czy też gra wyobraźni, zmysłowych wrażeń, uczuć, rozwój szeregu myśli, i t. d. czy nakoniec jakikolwiekbądź inny wewnętrzny organiczny proces, warunkujący życie i jego objawy, zużywa się pewna ilość organicznéj materyi, która inną, nową, musi być zastąpiona, jeśli całość organicznego życia ma daléj być zachowaną. Jędrzéj Śniadecki nazwał to *odnową.* Potrzeba tego wynagrodzenia jest bezwzględna, tak dalece, że jeśli żyjąca istota straci przez podobne zużycie $1/4$ część swéj wagi ciała, bez odpowiedniego, choćby częściowego wynagrodzenia, w krótkim czasie, to następuje śmierć nieohybna. Otóż wynadgrodzenie téj utraty organizmu, może być uskutecznione tylko za pomocą pokarmów odpowiednich, to jest zawierających w sobie te same pierwiastki, takiéjże saméj jakości, i w takiéj saméj ilości w jakiéj zostały zużyte i różnemi drogami z organizmu wyrzucone. Z tych pierwiastków jedne bywają użyte do budowy rozmaitych tkanek jako materyał budowlany; inne jedynie do umożliwienia pewnych organicznych spraw, bez których ani samo odżywienie, czyli zastąpienie zużytéj części, świeżą, nowo wytworzoną, ani inne życiowe i niezbędne organiczne sprawy byłyby niemożliwemi, jak np. tlen, tłuszcz, i t. p.; inne zaś przechodzą przez organizm mniéj więcéj bez zmiany, pobudziwszy tylko pewne organiczne czynności, nadawszy innym pewien kierunek, słowem wywoławszy pewne mniéj lub więcéj zbawienne albo szkodliwe następstwa, jak burza w świecie fizycznym. Pożywnemi można przeto nazwać tylko te pokarmy, które w sobie zawierają w znaczniejszéj ilości części, mające znaczenie materyału budowlanego organicznego, lub też umożliwiające niezbędne do odżywienia i istnienia organizmu organiczne sprawy. Do takich spraw należą np., wytworzenie zwierzęcego ciepła, siły mięsnéj i nerwowéj i najrozmaitszych organicznych, funkcyonalnych wydzielin, jak np. ślina, soki żołądkowe i kiszkowe, różne mazie i t. d. Pierwiastki tego rodzaju, znajdujące się w pokarmach, stanowią *białko* i wszystkie ciała organiczne, powinowatą z nim organiczną mające

budowę i znane pod nazwą ciał białkowatych, jak np. ser, grosznik, kléj roślinny (gluten) galarety zwierzęce,—*mączka*, znajdująca się najobficiéj w różnych roślinach, a najczęściéj w zbożu, kartoflach, kukurudzy, prosie i t. d. przechodząca przy trawieniu w dekstrynę, cukier i niekiedy w tłuszcz,—*tłuszcz*, *różne sole* mineralne, między któremi główne zajmuje miejsce sól kuchenna i fosforany, i nakoniec *woda*, stanowiąca w tkance organicznéj, z wyjątkiem kości, więcéj niż 70%. Te wszystkie rodzaje ciał są dla odżywienia organizmu niezbędnie potrzebne, gdyż on się bez żadnego z nich obejść nie może, i w razie, gdyby mu którego z nich stale zabrakło, następuje choroba i śmierć. Pożywność zatém pokarmów nie jest wyłącznym atrybutem li ciał białkowatych; ale i pokarmy, zawierające mączkę, są tak samo pożywne, a nawet pożywniejsze, bo zwierzę dłużéj wytrwa przy życiu bez ciał białkowatych, jak bez krochmalnych, a ludzie otyli, tylko wtedy mogą się pozbyć swéj zbytecznéj tuszy, gdy się im odejmie część pokarmów mączkowych.

Lecz niedość na tém. Nietylko że te pierwiastki muszą organizmowi być dostarczone w odpowiedniéj i stosunkowéj ilości, ale nadto i w takiéj formie, żeby je sobie łatwo mógł przyswoić, t. j. wchłonąć je i użyć do odbudowania własnéj organicznéj tkani i wytworzenia rozmaitych żywotnych płynów. Ten ostatni warunek jest bardzo ważny, gdyż od niego zawisł stopień pożywności jednego i tego samego pierwiastku i na nim polega cała ważność przysposobienia potraw t. j. kuchnia. Czem bardziéj te pierwiastki swoją chemiczną budową się zbliżają do chemicznéj budowy tych części organizmu, które mają zastąpić, czém mniéj przeto strat ponosić zmuszony organizm dla nadania im owéj budowy i formy, tém większa będzie ich wartość pożywna. Gluten czyli kléj w mące jest pożywny. Tenże sam kléj w otrębach nie przynosi żadnych korzyści, bo się przyswoić nie daje; wysoka wartość mięsa polega właśnie na tém, że znajdujące się w nim białkowate ciała są w téj formie, w któréj organizm sobie je łatwo przyswaja, gdy tymczasem już ser, kléj zwierzęcy lub roślinny, grosznik i t. d. przejść muszą dłuższy szereg przemian w organizmie, nim je wchłonąć i sobie przyswoić jest w stanie. Jajko na miękko nader lekko ulega wchłonięciu; jajko na twardo staje się często powodem choroby, bo się łatwo strawić nie daje, t. j. przemienić w formę uzdolniającą go do wejścia w krew, a z niéj w odpowiednie tkaniny jako materyał budowlany. *(d. c. n.)*

## ROZMAITOŚCI.

— W Nrach 63, 64 „Wieńca" podaliśmy czytelnikom naszym ciekawe szczegóły o „skarbie na wyspie Kokosowéj" i o wyprawie przedsięwziętéj w celu odszukania „sześćdziesięciu pięciu milionów dolarów" pod przewodnictwem słynnego kapitana Welsha i jego małżonki Elizy. O losie téj wyprawy pisze daléj p. Teodor Kirchhoff, z San Francisco—co następuje:

„Muszę ci donieść kochany przyjacielu, że bryg „Laura" powrócił tu z wyspy Kokosowéj w dniu 29-m lipca, ale niestety bez wymarzonych milionów. Statek odbył ztąd szybko podróż do wyspy: wiatry i pogoda sprzyjały żegludze, i trzydziestego pierwszego dnia załoga wylądowała na miejscu. Kapitan Welsh, po krótkich poszukiwaniach, wskazał szperaczom skarbu jaskinię, w któréj miały być ukryte miliony, a ponieważ wejście zawalone było odłamkami skał, wzięto się więc z chwalebną gorliwością do roboty oswobodzenia wejścia do groty. Po ośmiodniowéj pracy dokonywanéj na przemian z przestrachem i nadzieją, przewiercono w górze tunel na ośmdziesiąt stóp długi, nie natrafiwszy jednak na najmniejszy ślad skarbu. Rozczarowani poszukiwacze zaproponowali powieszenie starego Welsha i jego lubéj Elizy na jednéj palmie kokosowéj, ale ci obstawali przy swojém twierdzeniu, że skarb znajduje się we wnętrznościach góry. Należy tylko daléj kopać, a niezawodnie znajdzie się, etc. Na takie zapewnienie, szperacze skarbów wykopali w ciągu dwunastu dni następnych jeszcze dwieście stóp, aż do końca jaskini. Wszyscy należący do towarzystwa akcyjnego przekonali się wtedy, że sześćdziesiąt pięć milionów dollarów —w złocie, srebrze i klejnotach,—nie w téj jaskini się znajdują, i nigdy tam ukrytemi być nie mogły. Prawo „Lynchu" już miało być zastósowane, a Welsh i Eliza byli blizcy zawiśnięcia na wspólnéj gałęzi. Do tego jednak nie przyszło, niektórzy bowiem wierzyli w istnienie skarbów korsarskich. Nie pozostawiono też małżonków na bezludnéj wyspie, jak to kilku poszukiwaczy proponowało, zdawało się to bowiem kompanii rzeczą zbyt ryzykowną pozostawiać ich z niezmiernemi bogactwami, które ewentualnie mogły się znaleźć na wyspie Kokosowéj. Akcyonaryusze dali się nareszcie zmiękczyć błagalnemi prośbami Welsha i Elizy i wysadzili ich na ląd w Punta Arenas. Bryg „Laura" bez awanturniczéj pary powrócił do San Francisco.

Tu poszukiwacze skarbu powitani zostali radosną wiadomością, że w czasie ich wyprawy argonautów znaleziono starą, do dawnego korsarza należącą mappę wyspy Kokosowéj, na któréj miejsce ukrywające skarb dokładnie było oznaczone. Utworzyła się więc w San Francisco nowa kompania poszukiwaczy, która ma wkrótce odpłynąć na wyspę Kokosową, i tą razem miliony odnajdzie. Istnienie na wyspie Kokosowéj skarbu korsarskiego jest dla akcyonaryuszów nowéj kompanii faktem niezbitym. Duchy korsarzy wzywane w ostatnich dniach w San Francisco przez tutejsze magnetyczne *medyumy*, oświadczyły wszystkie: że mappa jest „all rigt" byłoby śmiesznem wątpić jeszcze o jéj autentyczności w obec tak przekonywających dowodów! Spodziewam się że będę miał jeszcze sposobność opisania wam kolosalnych skarbów z wyspy Kokosowéj natychmiast po ich szczęśliwém przypłynięciu do San Francisco. *Teodor Kirchhoff.*

— W dworskim teatrze wiedeńskim ustanowiono następujący systemat tantiemy dla autorów dzieł dramatycznych, godny naśladowania gdzieindziéj: Autor dzieła wypełniającego całe przedstawienie otrzymuje 10% dochodu ryczałtowego, nie wyjmując abonamentu; za dzieło, do którego musi się dodawać sztuczka jednoaktowa, płaci się 6%; nakoniec za dzieło, do którego dodaje się jedna 2-aktowa, lub dwie 1-aktowe, potrąca się dla autora 3% dochodu brutto. Taką tantiemę wypłaca się autorowi przez całe życie, po śmierci zaś autora jeszcze przez lat 15 jego rodzinie.

## OD WYDAWCÓW.

Zawiadamiamy Szanownych Panów Prenumeratorów, iż od dnia 1-go Stycznia 1873 r. prawo dalszéj publikacyi **Wieńca** przelewliśmy na pana S. Lewentala, Wydawcę **Pisma Illustrowanego Kłosy**, który poczynił stósowne kroki do JW. Ministra Spraw Wewnętrznych, o dozwolenie usunięcia całkowicie Illustracyj, poświęcenia go wyłącznie poważnym pracom krytycznym, studyom literackim, naukom ścisłym i stósowanym w całym ich zakresie, zwracając baczną uwagę na rozwój ekonomii politycznéj w ogólności, a gospodarstwa społecznego naszego kraju w szczególności, nie zapominając także i o sztuce pod względem oceniania jéj postępu i płodów w rozprawach gruntownych i wyczerpujących. Tak zmieniony **„Wieniec"** stanie się poważnym naukowym organem.

Wydawca **Kłosów** mając na względzie życzenia abonentów przez siebie wydawanych pism, zawarł z nami układ, mocą którego wychodzącą nakładem naszéj firmy

**ENCYKLOPEDYĘ POWSZECHNĄ**

**w 8-miu tomach.**

Prenumeratorowie **„Kłosów"** lub **„Tygodnika Romansów i Powieści"** otrzymywać od niego będą za pół ceny.

Czytelnicy przeto któregokolwiek z pism tych, od dnia dzisiejszego mogą w Kantorze wydawcy **„Kłosów"** i **„Tygodnika Romansów i Powieści"** ulica Widok Nr. 1566*a*, lub tam gdzie zwykle składają przedpłatę, zapisać się na wspomnioną ważną publikacyę. Cena dla nich ustanawia się ta sama, jaka do téj pory służyła Prenumeratorom **„Wieńca,"** to jest po **rs.** 8 za 8 tomów (z przesyłką na prowincyą **rs. 10**), które w ciągu lat dwóch od czasu pojawienia się pierwszego zeszytu (od Maja roku bieżącego) mają być ukończone. Wyszłe dotąd z druku dwa tomy mogą być odebrane za uiszczeniem **rs.** 2, (z przesyłką na prowincyę **rs.** 2 **k.** 50),—następnie zaś za dopłatą po **rs.** 1 (z przesyłką na prowincyę **rs. 1 k.** 25) do prenumeraty każdego kwartału na **„Kłosy"** albo **„Tygodnik Romansów i Powieści."** Stósownie do objawionego w prospekcie naszym zobowiązania, cena dzieła tego, nawet w razie, gdyby ilość ośmiu tomów okazała się dla niego niedostateczną, Prenumeratorom **„Wieńca,"** a więc także **„Kłosów"** i **„Tygodnika Romansów i Powieści"** podwyższona nie będzie.

Poniżéj podajemy warunki prenumeraty na Czasopismo illustrowane tygodniowe **Kłosy**, oraz **Tygodnik Romansów i powieści**:

*w Warszawie:*

**KŁOSY: rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2, miesięcznie kop. 67 i pół.**

**KŁOSY z ENCYKLOPEDYĄ: rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.**

**TYGODNIK ROMANSÓW I POWIEŚCI: rocznie rs. 3, półrocznie rs. 1 kop. 50, kwartalnie kop 75.**

**TYGODNIK ROM. i POW. z ENCYKLOPEDYĄ: rocz. rs. 7, półrocz. rs. 3 kop. 50. kwar. rs. 1 k. 75.**

*na prowincyi:*

**KŁOSY: rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.**

**KŁOSY z ENCYKLOPEDYĄ: rocznie rs. 17, półrocznie rs. 8 kop. 50, kwartalnie rs. 4 kop. 25.**

**TYGODNIK ROMANSÓW I POWIEŚCI: rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2, kwartalnie rs. 1.**

**TYGODNIK ROM. i POW. z ENCYKLOPEDYĄ: rocz. rs. 9, półrocz. rs. 4 k. 50, kwar. rs. 2 k. 25.**

Wszelkie korespondencye dieniężne adresować należy do S. Lewentala. ulica Widok Nr. 1566.



**Wydawca**, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 16 (28) Ноября 1872 г. **Redaktor**, Mieczysław Orgelbrand M. Pr. i Ad.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.